

ER(R)GO

| przekłady

Stanley Fish

Z uszanowaniem od Autora: refleksje nad Austinem i Derridą¹

*Najważniejszą sprawą w aktorstwie jest szczerłość;
gdy tylko nauczysz się ją udawać, wyjdiesz na swoje.*
(Sam Goldwyn)

1.

Latem 1977 roku, kiedy przygotowywałem się do wykładu *O grammatologii* Jacquesa Derridy w School of Criticism and Theory w Irvine, z tekstu wyleciała kartka, wprost prosząc się o interpretację. Było na niej napisane:

Z USZANOWANIEM OD AUTORA

Stałem wtedy w obliczu problemu interpretacyjnego nie tylko wobec potrzeby określenia znaczenia i intencji (są tym samym) wypowiedzi, ale w szczególnym sensie (choć tak mogło się tylko wydawać) związanego z tym, że nie wiedziałem, kim był wymieniony lub raczej, niewymieniony na kartce autor. Mógł to być sam Derrida, którego spotkałem, ale jedynie przelotnie. Mógł to być tłumacz Derridy Gayatri Spivak, którego znałem od jakiegoś czasu i który mógł mnie umieścić na liście wydawnictwa. Mogło to być również wydawnictwo, w tym przypadku John Hopkins University Press, w którym należałem do rady redakcyjnej. Pod nieobecność (kluczowe słowo) jakiegokolwiek wyraźnej identyfikacji uznałem samego siebie za symbol trudności czy nieszczęść, jakie nawiedzają rozdzieloną odległością bądź osłabioną komunikację: byłem niezdolny do podjęcia decyzji, ponieważ słowa zostały odcięte od swego zakotwiczenia w jedynej i przejrzystej obecnej intencji. Oznaczało to, jak mniemałem, że w momencie mojego zakłopotania doświadczyłem na własnej skórze wyższości komunikacji twarzą w twarz, umożliwiającej bezpośrednie poznanie intencji, nad komunikacją zapośredniczoną przez znaki pisane, a w tym przypadku przez zapis, który zmateriałizował się bez jakichkolwiek odniesień do kontekstu swego pochodzenia. Nie musiała być to akurat wiadomość znaleziona w butelce, lecz z pewnością była to wiadomość znaleziona w książce.

Filozofowie i krytycy literaccy od dawna mówią o takich sytuacjach, przeciwstawiając je innym, w których kwestie znaczenia i intencji są mniej niedookreślone. Zasada leżąca u podłoża tego zabiegu była często formułowana, ale nigdzie tak zwięźle jak w przypadku Jonathana Cullera: „Niektóre teksty są bardziej osierocone niż inne”². Przyjąwszy taką zasadę, całkiem rozsądne wydaje się konstruowanie taksonomii kontekstów komunikacji, ułożonej w kolejności od najmniej do najbardziej osieroconych. Opracowanie takiej taksonomii nie jest tutaj moim celem, ale jej szkic mógłby zarysować nam perspektywę niektórych kluczowych zagadnień w filozofii i teorii literatury.

Rozpoczęlibyśmy, oczywiście, od optymalnego kontekstu, wymiany wypowiedzi twarzą w twarz [odbywającej się] pomiędzy ludźmi, którzy znają się nawzajem i którzy mogą

w przypadku pomyłki, przerwy czy niejasności zadawać sobie nawzajem pytania. Mniej pewna, lecz nadal stosunkowo mało ryzykowna forma komunikacji pojawiłaby się między osobami, które się znają, ale są od siebie oddzielone czasem albo przestrzenią i tym sposobem ich komunikacja została zredukowana do medium listu, telegramu, czy telefonu; osoby takie będą słyszały i odczytywały siebie nawzajem na tle historii wspólnych doświadczeń i wspólnych trosk; pod nieobecność fizycznej bliskości tło takie będzie odgrywało rolę ograniczenia interpretacji. Innego rodzaju ograniczenia wchodzi w grę, gdy komunikacja odbywa się między osobami, które nie znają się nawzajem, ale które wypowiadają się z wnętrza kontekstu, stabilizującego kierunek i kształt ich rozumienia: sprzedawcy i klienci w sklepie, nauczyciele i uczniowie w pierwszy dzień szkoły, kelnerzy i goście w restauracji i tak dalej. Poważne trudności pojawiają się wtedy, kiedy nieobecny jest ten rodzaj stabilizującego kontekstu. Zbieżność absorbujących nas spraw jest wtedy raczej kwestią szczęścia niż prawdopodobieństwa, ponieważ jedna strona mówi lub pisze dla zróżnicowanego odbiorcy, mając nadzieję, że bystry słuchacz bądź czytelnik uchwyci, o co chodzi; komentatorzy telewizyjni, ludzie zajmujący się reklamą pocztową i dziennikarze prasowi znajdują się w takiej sytuacji, ciągle narażeni na niezrozumienie z powodu błędnego oszacowania [okoliczności], szczególnego słownictwa i zaskakujących reakcji odbiorców. Gdy posuwamy się jeszcze dalej, sprawy się coraz bardziej komplikują, ponieważ do trudności spowodowanych fizycznym dystansem dochodzą niewspółmierności wynikające z dystansu czasowego i odmienności kulturowej. Ostatecznie, na najdalszym etapie tego odchodzenia od pewnych i przezroczystych spotkań werbalnych docieramy do literatury, a zwłaszcza do fikcji; tutaj niepewności interpretacyjne wydają się czyhać wszędzie, gdy usiłujemy ustalić znaczenia i intencje pochodzące od dawno nieżyjących autorów, których słowa mają odniesienie nie do minionego świata, ale do świata, który nigdy nie istniał poza ich wyobraźnią. W innych przypadkach interpretacyjne wysiłki czytelników i słuchaczy są związane – nawet jeśli tylko w jakiś osłabiony sposób – z możliwymi do wyszczególnienia warunkami empirycznymi; w przypadku fikcji i dramatu warunki owe są konstruktem autora i muszą być odtworzone przez czytelników i słuchaczy, bez pomocy bytów pozamyślowych.

Obraz, który właśnie nakreśliłem, jest zdroworoządkowy i perswazyjny; leży u podłoża przekonań wielu naszych najbardziej wpływowych teoretyków. Culler zakłada go, kiedy powiada, że słowa w wierszu „nie odnoszą nas do jakiegoś zewnętrznego kontekstu, ale zmuszają do stworzenia fikcyjnej sytuacji wypowiedzi”, ponieważ wiersze z definicji usunięte są „ze zwyczajnego obiegu komunikacyjnego” (s. 166). Takie samo rozumowanie doprowadza Johna Ellisa do oznajmienia, że gdy tylko coś zostaje zidentyfikowane jako literatura, „to generalnie już nie zaprzatamy sobie głowy tym, czy to, co mówi, jest prawdziwe czy fałszywe, ani nie traktujemy tego jako czegoś ważnego dla jakiegokolwiek konkretnego praktycznego celu”, ponieważ nie jest to postrzegane „jako część bezpośredniego kontekstu, w jakim żyjemy”³. Barbara Herrnstein Smith wypowiada się podobnie: „Wiersz nie odzwierciedla, ale *tworzy* kontekst, w którym jego znaczenia są umieszczone”; podobnie jak list, wiersz „będzie czytany w jakimś kontekście zarówno czasowo, jak i przestrzennie odległym od tego, w jakim został ułożony”, lecz granice, w jakich muszą działać poeci i ich czytelnicy, są nawet surowiej wytyczone, ponieważ poeta „musi przekazać swoim odbiorcom nie tylko kontekst odległy w przestrzeni i czasie, ale wręcz taki, który mógł nigdy nie zaistnieć w historii czy przyrodzie”⁴. Wolfgang Iser jest nawet jeszcze bardziej jednoznaczny i kategoryczny: „Teksty fikcjonalne konstituują swoje własne przedmioty i nie kopią czegoś już istniejącego”; „codzienny

język pragmatyczny ... z góry zakłada odniesienie do danego przedmiotu”, a zatem „wielosc możliwych znaczeń [jest] ograniczona”; z drugiej strony język fikcyjny „otwiera wzrastającą ilość możliwości”, co pociąga za sobą decyzje i akty tworzenia po stronie czytelnika⁵. Dla Isera owa wzrastająca aktywność czytelnika jest charakterystyczna dla odbioru literatury jako przeciwstawionego, na przykład, odbiorowi tekstu naukowego, gdzie akty tworzenia nie są wymagane, gdyż przedmiot – czyli świat – już jest dany. To samo spostrzeżenie zostało poczynione nieco bardziej elegancko przez Richarda Ohmanna: w zwyczajnym dyskursie, podkreśla Ohmann, „zakładamy świat realny i osądzamy trafność aktów mowy”; lecz w dyskursie fikcyjnym „zakładamy trafność aktów mowy i powołujemy do życia świat”⁶. Jak to czynimy, starał się wyjaśnić John Searle. Dyskurs fikcyjny umożliwia, według Searle’a, „zbiór konwencji, które zawieszają normalne działanie reguł odnoszących akty illokucyjne do świata”⁷. W miejsce owego normalnego działania, gdzie język jest przywiązany do już istniejącego odniesienia, piszący fikcję, wyjaśnia Searle, *udaje* odnoszenie się do rzeczywistych postaci i zdarzeń, a przez to udawanie stwarza fikcyjne postaci i zdarzenia (s. 71–72); jako czytelnicy zgadzamy się na to udawanie, bierzemy w nim udział, a w ten sposób zarazem bierzemy udział w konstrukcji fikcyjnego świata i jego znaczeń (s. 73).

Wydawać się może, iż podczas tego krótkiego namysłu nasze zainteresowanie przeniosło się od kwestii oddalonej czy osieroconej mowy do kwestii fikcyjnego języka, ale, jak widać, te dwie kwestie stanowią jedność. Zarówno mowa osierocona, jak i mowa fikcyjna są uznawane przez teoretyków za odchylenia (*deviations*) od pełnej obecności i normatywnej kontekstualności komunikacji twarzą w twarz i w obu przypadkach konsekwencje są takie same: przyrost wysiłku interpretacyjnego wymagany od czytelników i słuchaczy (wedle *implicite* przyjmowanej zasady: im większy dystans, tym więcej pracy), który oznacza wzrost ryzyka i niepewności związanych z każdym wysiłkiem (zmierzającym) do ustalenia określonych znaczeń. W rzeczy samej, niezwykle jest, jak wiele zagadnień w filozofii i teorii krytycznej sprowadza się ostatecznie do podstawowego zagadnienia związanego z uprzywilejowaniem bezpośredniej czy zakotwiczonej mowy. Istnieje dowolna liczba par pojęć, które można uszeregować wedle schematu: mowa osierocona vs mowa pełna i język zwykły vs język fikcyjny, tak iż utworzą wewnętrznie powiązany zbiór wzajemnie zależnych opozycji. Tych kilku teoretyków, których wcześniej przytoczyłem, dostarcza listę przykładów, która pod żadnym pozorem nie jest wyczerpująca:

język dosłowny	język metaforyczny
określone	nieokreślone
nagie fakty	fakty instytucjonalne
dyskurs obiektywny	dyskurs subiektywny
realni ludzie	fikcyjne postaci
bezpośrednie akty mowy	pośrednie akty mowy
realne przedmioty	przedmioty fikcyjne

język naukowy	język ekspresyjny
performatywy wyraźne	performatywy ukryte
lokucyjny	illokucyjny
znaczenie (meaning)	sens (significance)
percepcja	interpretacja
realne doświadczenie	doświadczenie estetyczne
konstatacja	performatyw

Opozycje te są swoimi wzajemnymi przekształceniami na mocy epistemologicznej przesłanki leżącej u podstaw każdej z nich, [która mówi], że pierwsze, stojące po lewej stronie pojęcie oznacza taki tryb wiedzy (*knowing*), która jest, nawet jeśli nie w sposób czysty, to przynajmniej relatywnie, bezpośrednia, przezroczysta, pozbawiona trudności, niezapośredniczona, niezależnie weryfikowalna, bezproblematyczna, przedinterpretacyjna i pewna; i odwrotnie, tryb poznania określony przez pojęcia po prawej stronie odnosi się do wiedzy pośredniej, zamazanej, zależnej od kontekstu, nieograniczonej, wtórnej i pełnej ryzyka. Jednym z powodów takiego niezwykłego powodzenia tego rozróżnienia w różnych jego formach jest wsparcie, jakie wydaje się uzyskiwać przez świadectwa zdroworozsądkowe. Tutaj oto, możemy powiedzieć (naśladować doktora Johnsona), leży kamień; jest on znacznie lepiej nam dostępny do badania i opisywania niż jakiś kawałek skały we Francji czy w powieści Dickensa. Albo – ewentualnie – tutaj oto jestem ja, stoję przed tobą, znasz mnie i wiesz, co mam na myśli, kiedy coś mówię, a jeśli nie, możesz mnie po prostu zapytać, czego nie mógłbyś zrobić, gdybym był martwy, albo w Chinach, albo żywy, lecz obecny jedynie na kartach jakiejś epepei. Powodzenie to, krótko mówiąc, polega na doświadczeniu *bezpośredniości* w przeciwieństwie do doświadczenia przedmiotów i osób możliwego jedynie na odległość – jest to przeciwieństwo, które zdawała się potwierdzać anegdota, od której rozpocząłem. Przypuszczalnie, gdybym w 1977 roku miał dokładniejsze informacje i gdybym mógł spotkać ofiarodawcę twarzą w twarz, to niepewność i niedookreśloność, która charakteryzowała moje wysiłki zinterpretowania Z USZANOWANIEM OD AUTORA, byłaby o wiele mniejsza lub całkowicie zniknęłaby⁸.

Spróbujmy na potrzeby dyskusji przetestować to domniemanie, wyobrażając sobie szczęśliwe okoliczności, w których ten konkretny akt mowy mógłby zaistnieć z większym powodzeniem. Załóżmy najpierw, że byłem w stanie ustalić, iż prezent, a tym sposobem także kartka go obwieszczająca została mi przysłana przez Derridę. Czy moja sytuacja w aspekcie interpretacyjnej pewności poprawiłaby się? Cóż, w pewnym sensie, odpowiedź brzmi „oczywiście”, nie próbowałbym już interpretować wiadomości jako otrzymanej od Spivaka bądź z John Hopkins University Press, lecz wciąż pozostawałby problem interpretacji wiadomości od Derridy, a fakt, że znałem wtedy jego nazwisko, nie mógłby być sam w sobie decydujący, ponieważ ja *chciałbym* znać jego intencje, cele i powody, jakimi się kierował. Znaczy to, iż chciałbym wiedzieć, w jakim *duchu* Derrida przesłał mi tę książkę. Moje nazwisko mogło być przecież tylko jedną pozycją z bardzo długiej listy przedłożonej przez redaktora bądź wydawcę i w odpowiedzi na jego sugestię Derrida odrzekł: „Stanley, jak mu tam?” Moje zakłopotanie wcale nie musiałoby zniknąć

również wtedy, gdyby wiadomość została dostarczona osobiście, gdyby Derrida wkroczył do mojego biura i powiedział: „Aha, oto i Stanley Fish, proszę przyjąć to ode mnie z pozdrowieniami od autora”. Wciąż mógłbym podejrzewać, iż był on raczej ironiczny niż pełen szacunku i że tak naprawdę powiedział „Z pozdrowieniami od *autora*” (*With the compliments of the author*). W tym wypadku sytuacja byłaby na tyle jasna, by odebrać jego wypowiedź jako stwierdzenie zarówno pierwszeństwa jak i wyższości.

Oczywiście, w przypadku takich podejrzeń mógłbym po prostu zadać Derridzie dowolną liczbę bezpośrednich i przenikliwych pytań w stylu: „Co pan miał przez to na myśli?” albo „Jak mam to rozumieć?”, albo „Czy oczekuje pan czegoś w zamian?” Całkiem możliwe, że ukontentowałyby mnie odpowiedź na jedno lub więcej z tych pytań. Może dlatego, że zawierałaby jakieś sformułowanie będące dla mnie szczególnie silną oznaką szczerości, a może dlatego, że towarzyszyłaby jej wiedza na temat przeszłych zachowań Derridy, która wydawałaby mi się silnym świadectwem jego dobrej woli. Moje wątpliwości mogłyby w ogóle się nie rozwijać, ponieważ zostały silnie zakorzenione w pewnej zawodowej niepewności – niepewności, która zamiast zniknąć pod wpływem werbalnych (lub innych) zapewnień traktowałaby je po prostu jako kolejną okazję do wątpliwości. Rzecz nie w tym, iż nigdy nie będę miał pewności co do znaczenia słów Z USZANOWANIEM OD AUTORA, ale w tym, że ani uzyskanie pewności, ani porażka w próbach jej osiągnięcia nie mają koniecznego związku z faktem fizycznej bliskości. Świadectwo, które przekonałoby mnie o dobrej woli Derridy, mogłoby przynieść ten sam rezultat nawet wtedy, gdyby przekazano mi je listownie lub przez osoby trzecie. Ponieważ jego status jako świadectwa nie zależy tylko, czy nawet głównie, od mojej zdolności przyjrzenia się mu z bliska, lecz jedynie od posiadania przeze mnie przekonania na temat (istnienia) relacji pomiędzy pewnymi działaniami i formułami a obecnością dobrej woli. I odwrotnie, fizyczna bliskość takiego świadectwa w postaci słów czy gestów Derridy wciąż mogłaby nie przekonywać, gdyby moja zawodowa obawa (która także jest jakimś przekonaniem, równie dobrze działającym na dużą odległość jak i „w zbliżeniu”) była na tyle wystarczająco silna, aby je uchylić.

Fakt kontaktu twarzą w twarz w takim razie nie gwarantuje tego, że komunikacja będzie pewna czy nawet stosunkowo bezproblemowa. Zostało to sympatycznie przedstawione na rysunku, który pojawił się kilka lat temu w „New Yorkerze”. Widnieje na nim mężczyzna siedzący przed telewizorem zapatrzony w ekran; nad nim stoi kobieta, przypuszczalnie jego żona, która najwyraźniej jest rozszuszczona. Podpis głosi: „Wyglądasz, jakby ci było przykro, zachowujesz się, jakby ci było przykro, mówisz, że jest ci przykro, ale wcale nie jest ci przykro”. Rzekoma przewaga komunikacji twarzą w twarz wynika z tego, że [komunikacja ta] pozwala wnioskować znaczenie wypowiedzi przez bezpośrednie śledzenie słów i zachowania mówiącego. Ale rysunek ów wydaje się nam przypominać, że kierunek wnioskowania także przebiega często w drugą stronę - kobieta z góry wie, jaki będzie sens tego, co mówi jej mąż, bo wie, i wie to z całą mocą przekonania, jakim jest on człowiekiem, a w takim razie jest ona w stanie usłyszeć dowolne jego słowa jako potwierdzenie tego, co już wie. On mógłby przedkładać pisemne oświadczenia złożone pod przysięgą, mógłby zabezpieczać się zaświadczeniami od księdza, lekarza czy swojej matki, a ona wciąż mogłaby interpretować jego słowa i wszystkie potwierdzające je dokumenty jako świadectwa jego nieszczerości⁹.

Zestawienie tego rysunku z moją anegdotą jest pouczające częściowo dlatego, że z początku zdają się ilustrować zupełnie inne sytuacje – szczególnie osłabionego aktu mowy z jednej strony i aktu mowy ściśle związanego ze swoim kontekstem, z drugiej.

Ale ostatecznie te dwie sytuacje są bardzo podobne, ponieważ w obu przypadkach kluczową rolę w usiłowaniu ustalenia znaczenia odgrywają założenia i przekonania. W jednym przypadku uparcie utrzymywane założenie żony na temat tego, jakiego rodzaju człowiekiem jest jej mąż, wytwarza jedną niezachwianą interpretację jego słów; w drugim przypadku moja niezdolność, by wierzyć całkowicie w szczerość Derridy, powoduje u mnie zwątpienie w poprawność interpretacji jego słów. W obu przypadkach kształt przekonań (zarówno na swój, jak i na cudzy temat) odpowiada za kształt interpretacji, bez względu na to, czy owe przekonania działają na odległość, czy przy bezpośrednim spotkaniu. Moje „odczytanie” intencji Derridy niekoniecznie wzmocniłaby jego obecność; podobnie gdyby mąż miał zostawić swojej żonie wiadomość mówiącą, że jest mu przykro, to jej odbiór [tej wiadomości] byłby równie pewny jak odbiór słów przez niego wypowiedzianych. Znaczy to tyle, że różnica pomiędzy tymi dwoma przypadkami (bo różnice pozostają) nie może zostać wyjaśniona jako różnica pomiędzy komunikacją bezpośrednią (*direct*) i zapośredniczoną (*mediated*); w rzeczy samej, jeśli mamy uogólniać te przykłady, to (widać), iż nie istnieje epistemologiczna różnica pomiędzy komunikacją bezpośrednią i zapośredniczoną, ponieważ, w istocie rzeczy, każda komunikacja jest zapośredniczona. Oznacza to, że komunikację każdego rodzaju charakteryzują dokładnie te same warunki konieczności zabiegów interpretacyjnych, nieuniknioność (jakiejs) perspektywy oraz konstruowanie przez akty interpretacji tego, co rzekomo ugruntowuje interpretację, intencje, charaktery i kawałki świata.

Wydaje się, iż zamiast potwierdzać „prawo Cullera” nasza analiza zaprowadziła nas do jego przeciwieństwa, do wniosku, że wszystkie teksty są radykalnie i w tej samej mierze osierocone w tym sensie, że żaden z nich nie jest bezpiecznie przywiązany do jakiegoś niezależnie określalnego stanu rzeczy. Wraz z tym twierdzeniem dotarłem w końcu do Derridiańskiej krytyki J. L. Austina, ponieważ kwestią, jaka pojawia się między nimi (lub przynajmniej tak się wydaje), jest możliwość zidentyfikowania jakiegoś takiego rodzaju aktu mowy, który nie jest osierocony, to znaczy takiego, który jest „przykuty do [swego] źródła” (HT, s. 61). W *Signature Event Context* Derrida kwestionuje tę możliwość, gdy dociera do „paradoksalnego, acz nieuniknionego wniosku - udany performatyw jest z konieczności «nieczystym» performatywem” (SEC, s. 191). Czysty performatyw miałby *zapewnione* powodzenie, ponieważ kombinacja słów, jednoznacznego kontekstu i przezroczystości intencji tak ograniczyłaby jego odbiór, że nie znalazłoby się już miejsce dla wątpliwości, a zatem nie byłoby potrzeby interpretacji. Argument Derridy głosi, iż optymalne warunki potrzebne do takiego powodzenia nie istnieją, ponieważ ryzyko związane z tak zwanymi nieczystymi przypadkami – przypadkami, w których moc illokucyjna musi być wywnioskowywana raczej poprzez sieć założeń niż odczytywana bezpośrednio - należy do istoty *wszystkich* przypadków. Derridę uderzył fakt że mimo, iż Austin zatrzymuje się na dłużej nad „doktryną przypadków niefortunnych (*infelicitities*)” czy „doktryną spraw, które mogą iść i idą źle”, to trzyma się ideału sytuacji mówienia (*speech situation*), w której wszystko ma się dobrze (HT, s. 14). Oznacza to, iż Austin uświadamia sobie wszechobecność niefortunności, lecz trwa przy myśleniu o niefortunności jako czymś równie „przypadkowym”, co jakieś niefortunne odchylenie od normy „wyczerpująco określającego kontekstu, wolnej świadomości obecnej przy całości operacji oraz [w przypadku] mowy całkowicie znaczącej” (SEC, s. 188). Z drugiej strony, Derrida uważa niefortunność nie za coś przypadkowego, ale za coś pierwszorzędne i [należące] do struktury. Przedstawia on swoje stanowisko, stawiając serię pytań:

Czy ta ogólna możliwość koniecznej porażki czy pułapki, w którą język może *wpaść* czy zagubić się jak w otchłani, jest umieszczona na zewnątrz bądź naprzeciwko języka? ... Innymi słowy, czy własność ryzyka przyznana przez Austina *otacza* język jak jakiś rodzaj *fosy* lub zewnętrznej przestrzeni unicestwienia, na której opuszczenie mowa nie może mieć nigdy nadziei, ale której może umknąć, pozostając „w domu”? ... Albo, przeciwnie, czy owo ryzyko jest raczej jej wewnętrznym i pozytywnym warunkiem możliwości? Czy to zewnątrz jest jej wnętrzem, samą siłą i prawem jej wyłaniania się? (SEC, s. 190)

Przez „ogólną możliwość” Derrida rozumie fakt, że język padnie raczej ofiarą interpretacji niż zostanie zakotwiczony w jakimś źródłowym i ograniczającym centrum; interpretacja, z wszystkimi jej zagrożeniami i niepewnościami, jest źródłem nieszczęścia; *jest* „ryzykiem”. Według tradycyjnego czy klasycznego poglądu ryzyko interpretacji pojawia się jedynie wtedy, gdy warunki komunikacji są określane przez dystans i osłabienie (*etiolation*); zwykła bądź podstawowa komunikacja ma miejsce w przestrzeni dobrze zagwarantowanego bezpieczeństwa, gdzie znaczenia nie mogą zejść na manowce. Mając takie wyobrażenie, ma sens robienie tego, co czyni Austin w pierwszych rozdziałach swojej książki - najpierw wyodrębniając normatywne i jednoznaczne przypadki, a następnie sięgając do przypadków pochodnych i trudnych. Lecz, jak zauważa Derrida, takie postępowanie, jakkolwiek może się wydawać metodologicznie niewinne, za swoją racjonalnością i całą metafizyką skrywa metafizykę obecności przedmiotów i/lub intencji posiadających czystość, której w akcie komunikacji ani nie można zachować, ani stracić.

W pierwszej części tekstu *Signature Event Context* Derrida podaje jako przykład takiej metafizyki stanowisko Condillaca wobec pochodzenia pisma: „Człowiek podczas komunikowania swych myśli poprzez dźwięki poczuł konieczność wymyślenia nowych znaków zdolnych do zachowywania tych myśli i umożliwiających *poznanie* ich osobom, które są *nieobecne*” (SEC, s. 176). Stanowisko to jest modelowe w tej tradycji, ponieważ zakłada, i poprzez zakładanie – ustanawia wtórny status pisma, które stanowi tutaj środek przekazywania czegoś wcześniejszego wobec siebie, czegoś, co w chwili swego pojawienia się było bezpośrednie i przezroczyste, czegoś kiedyś *obecnego*. Odpowiedzialność pisma jako pośrednika polega na przekazywaniu tej obecności z możliwie najmniejszą liczbą zmian: „Ta sama treść, wcześniej komunikowana przy użyciu gestów i dźwięków, będzie odtąd przekazywana przez pismo” (SEC, s. 176). Tak pomyślane pismo jest zatem nie tyle przerwą w obecności, ile jakąś modyfikacją obecności, modyfikacją konieczną z powodu niefortunnego faktu (istnienia) dystansu (nieobecności), a jednak modyfikacją, zawsze powiązaną ze swym źródłem pochodzenia (*originating source*) i tym sposobem zawsze będąca „w domu”. Sytuacja staje się niebezpieczna jedynie wtedy, gdy pismo traci kontakt ze swym źródłem i wtedy nie jest już podległe – tak jak powinno – solidniejszej rzeczywistości, rzeczywistości przedmiotów i intencji.

Zakwestionowanie przez Derridę tego wygodnego obrazu zaczyna się od pozornie trywialnej obserwacji: „Aby być tym, czym jest, całe pismo... musi być w stanie funkcjonować wobec zdecydowanej nieobecności jakiegokolwiek empirycznie określonego odbiorcy” (SEC, s. 180). Równa się to powiedzeniu, iż pismo to coś takiego, że nawet ktoś, kto nie ma żadnego związku – obojętnie czy to z pierwotnym odbiorcą, czy nadawcą – będzie zdolny zinterpretować je i coś z niego zrozumieć. Gdyby tak nie było, gdyby tekst pisany lub wypowiedź mogły jedynie funkcjonować w oryginalnym kontekście ich po-

wstania, to nie stanowiłyby reprezentacji tego kontekstu, ale jego część, byłyby częścią obecności (*a piece of presence*). „Pismo, które nie byłoby strukturalnie czytelne – powtarzalne (*iterable*) - po śmierci adresata, nie byłoby pismem” (SEC, s. 180). Przy takim określeniu pismo i język w ogóle stają się zbyt potężne, by zostały zasymilowane przez klasyczny pogląd, w którym pismo „zastępuje” nieobecną obecność, pozostając jedynie jej reprezentantem, ponieważ skoro pismo jest odczytywalne nawet dla tych, którzy nic nie wiedzą o jego oryginalnym źródle czy zamierzonym odbiorcy, to uskutecznia ono swoje „zastępstwo” bez zakotwiczenia obecności, nawet odległej, tego, co ma zastępować. Jak przedstawia to Derrida, „Znak może obejść się bez odniesienia” (SEC, s. 183); znaczy to, że znak może być odbierany jako odnoszący się (*referring*) do osób, przedmiotów lub intencji, do których czytający nie posiadają niezależnego bądź pozajęzykowego dostępu ani osobiście, ani przez użycie pamięci.

Przedstawianie rzeczy w ten sposób powoduje jednak nieporozumienie, ponieważ sugeruje, że tego rodzaju odbiór jest konieczny jedynie w przypadku empirycznej nieobecności, czyli kiedy „faktycznie” zamierzonego odbiorcy lub przedmiotu odniesienia nie ma. Takie nieporozumienie jest prowokowane także wtedy, gdy Derrida mówi o znakach, które wytwarza, że ich funkcjonowanie nie zostanie utrudnione przez „moją przyszłą nieobecność”. W taki sposób, dopuszczone jest odczytanie, zgodnie z którym raz, w oryginalnym kontekście swego wytworzenia, znak był ustabilizowany przez jego (kontekstu) „obecność”, ale to odczytanie, które zostało umyślnie podsunięte, zostało natychmiast zablokowane przez uściślenie:

Kiedy mówię „moja przyszła nieobecność”, to robię to po to, aby uczynić twierdzenie to łatwiej akceptowalnym. Powiniennem być w stanie wypowiedzieć moją nieobecność, czystą i prostą, moją nie-obecność (*non-presence*) w ogóle, na przykład nieobecność mojej intencji powiedzenia czegoś sensownego (SEC, s. 180–181).

Derrida sugeruje, że nawet w pierwotnej chwili wytwarzania przynależy mu [jedynie] jakaś zinterpretowana obecność, obecność, która wkracza w pole widzenia w akcie interpretacji dokonywanej z konieczności przez tych, którzy go słyszą nawet w sytuacji [kontaktu] twarzą w twarz. Co więcej, jest to prawdziwe tak samo dla niego, jak i dla innych, skoro po to, aby „znać” swoje własne intencje, musi sam siebie sprawdzić i zapytać o swoje motywy, używając podczas stawiania pytań takich kategorii, które z góry wyznaczają granice wyobrażenia, jakie sam o sobie może mieć¹⁰. Nawet gdy jest obecny fizycznie, nie istnieje jako niezapośredniczony byt ani we własnych oczach (czy uszach), ani w oczach swoich interlokutorów. (To samo można powiedzieć o nieobecnej obecności (*nonpresent presence*), nieobecności w ogóle (*disappearance in general*) męża na rysunku z „New Yorkera” albo o Derridy w mojej anegdocie). Tak więc, kiedy Derrida oznajmia, iż „znak posiada cechę bycia zrozumiałym, nawet jeśli moment jego wytworzenia jest nieodwołalnie utracony” (SEC, s. 182), to musimy zrozumieć, że *sam* moment wytworzenia jest momentem utraty w taki sposób, że jego składowe – wliczając nadawcę, odbiorcę, odniesienia i przekaz – nigdy nie są przezroczyście obecne, lecz muszą być zinterpretowane czy „wczytane” w byt. Zatem argumentacja Derridy w tym fragmencie przesuwana się od twierdzenia, że wypowiedzi (*utterances*) można odczytać nawet w szczególnych warunkach empirycznej nieobecności [nadawcy] do twierdzenia, że wypowiedzi są *jedynie* odczytywalne (w przeciwieństwie do odszyfrowywania czy widzenia na wylot), nawet w zakładanych optymalnych warunkach fizycznej bliskości.

Właśnie ta intuicja przenika pojęcie „powtarzalność” (*iterability*), irytująco używane przez Derridę. Powiedzenie, iż coś jest powtarzalne, zwykle rozumie się tak, że po jakimś pierwotnym użyciu to coś może być użyte *znowu* (powtórzone – *iter*); ale dla Derridy powtarzalność jest *ogólnym* warunkiem związanym z pierwotnym użyciem, które zatem nie jest pierwotne w sensie bycia poznany lub doświadczony bez odniesienia do czegośkolwiek poza sobą. Staje się to jasne przy rozważaniu, co musiałoby się dzieć w przypadku - który, jak powiada Derrida, zajść nie może – „nie-powtórzenia się jakiegoś zdarzenia” (SEC, s. 192). Niepowtórzenie się zdarzenia byłoby jakimś zdarzeniem ujętym nie przez relację tożsamości (*sameness*) bądź różnicy wobec czegoś innego (czegoś uprzedniego), lecz bezpośrednio, po prostu jako jego samego. Ale jeśli składowe zdarzenia – jakkolwiek prostego czy złożonego, bliskiego czy dalekiego – pojawiają się w polu widzenia jedynie w akcie czytania, to w ogóle nie może zdarzyć się taki przypadek jak niepowtórzenie się, a każde zdarzenie jest zawsze i już reprezentacją lub repetycją. Ktoś taki jak Searle, zapytany o to, odparłby, zresztą całkiem sensownie, „repetycją lub reprezentacją czego?” Odpowiedź brzmi: repetycją lub reprezentacją siebie samego, co wydaje się sprzecznością, dopóki nie zrozumiemy, że twierdzenie jest dokładnie takie, że „siebie” (zdarzenia, jego czynników, przedmiotów, znaczeń) nigdy nie ujmuje się inaczej niż w jakiejś zinterpretowanej – stąd powtórzonej lub reprezentowanej – formie. Właśnie to ma Derrida na myśli, kiedy mówi o „logice, która wiąże repetycję ze zmiennością” (SEC, s. 180). Repetycja lub reprezentacja czegoś różne są od tego czegoś, które staje się jej innym; ale skoro repetycja lub reprezentacja jest wszystkim, co można mieć, to zawsze będzie ona „inna” niż ona sama. Mówiąc słowami Samuela Webera, „Jeśli coś musi być powtarzalne, aby stało się przedmiotem dla świadomości, to nigdy nie może być to całkowicie uchwycone, będąc już rozszczepionym i przez swoje bycie powtórzonym (czy dokładniej: przez swoje *powtórzenie* [będąc] *bytem*)”¹¹. Powtarzalność zatem stanowi ogólny warunek czytelności (*having-to-be-read*), a niepowtarzalność to warunek dostępności niezależnej od czytania, sytuacja, której – wedle argumentacji Derridy – nigdy nie mamy przyjemności doświadczać. Krótko mówiąc, niepowtarzalność jest innym słowem dla oznaczenia pełnej i niezapośredniczonej obecności, a powtarzalność stanowi kolejne określenie odczytywalności (*readability*) nie jako możliwości, ale jako konieczności. Jest to konieczność, która została już pokazana na przykładzie rysunku z „New Yorkera”: nawet w najbardziej przychylnych okolicznościach, gdy kobieta jest jak najbliższej swego męża, jego wygląd (słowo sympatycznie wahające się pomiędzy istotą (*substance*) a powierzchnią (*surface*)), jego intencje i to, co ma na myśli, wyłaniają się jedynie w akcie interpretacji, dla którego są przypuszczalnie podstawą. Wszystkie one są iterowanymi, powtórzonymi, reprezentowanymi, albo mówiąc jednym słowem – „czytanymi” bytami (*entities*). Moment wymiany twarzą w twarz, który zakłada Condillac w swojej teorii komunikacji, stanowi moment wytwarzania w obrębie czytania tego, co jest uznane za uprzednie wobec czytania. Używając pojęć Derridy, gest interpretacyjny, który grozi zainfekowaniem podstawy (czyli obecności), odpowiada za samą formę podstawy i wszystkiego, co ona zawiera, wliczając osoby, ich przekazy i same ich światy. To zewnątrz jest swoim wnętrzem, samą mocą i prawem swego wyłaniania się.

2.

Jednym z rezultatów tej teorii komunikacji codziennej czy twarzą w twarz jest postawienie w trybie natychmiastowym pytania o język fikcyjny: ponieważ właśnie je-

zyk fikcjonalny, według tradycyjnego określenia, powołuje do istnienia światy, razem z przedmiotami, postaciami, wydarzeniami i intencjami, podczas gdy zwyczajny czy poważny język jest odpowiedzialny wobec świata faktów empirycznych. Właśnie to rozróżnienie tkwi u podstaw decyzji Austina, by wykluczyć ze swej teorii aktów mowy wypowiedzi fikcjonalne i z zakresu sztuki dramatycznej. A właśnie ta decyzja jest mniej lub bardziej krytykowana przez Derridę. Kluczowy fragment pojawia się u Austina w II rozdziale:

Wypowiedź performatywna będzie, na przykład, *osobliwie* wydrążona czy pusta, jeśli zostanie wygłoszona na scenie przez aktora, pojawi się w wierszu lub wypowiedzi w samotności. Odnosi się to w podobny sposób do każdej wypowiedzi – swoiste okoliczności wprowadzają zasadniczą zmianę. Język w takich okolicznościach w szczególności sposób, sposób, który podpada pod doktrynę *osłabienia* języka... nie jest używany na poważnie, ale w pewnym sensie *pasżytuje* na normalnych użyciach (HT, s. 33).

Rozumowanie kryjące się za tą deklaracją jest wystarczająco jasne: mówiący w wierszu czy aktor na scenie nie wygłaszają swojej wypowiedzi z pełną i obecną intencją, lecz z intencją należącą do kogoś poza nimi, do poety lub autora sztuki; do aktora należy [tylko] *wypowiedź sceniczna*. Żeby dotrzeć do jej prawdziwego znaczenia, musimy sięgnąć poza scenę do jej źródła w świadomości autora. Interpretując tę illokucyjną moc wypowiedzi scenicznych, pozostajemy, mówiąc krótko, w pewnym dystansie [wobec ich źródeł].

Odpowiedź Derridy sugeruje, że zawsze pozostajemy w takim dystansie, i taka też odpowiedź zawarta jest w przykładach, od których rozpocząłem ten esej. Gdyby Derrida miał stanąć przede mną wraz ze swoją książką, swoją dedykacją i swoją „obecnością”, to ja wciąż znajdowałbym się w sytuacji teatromana wnioskującego na temat jego intencji i znaczenia nie bezpośrednio z jego słów, ale przez już gotowy pryzmat tego, co założyłem jako jego cele, dążenia, zainteresowania i tym podobne. Postępowałbym tak dalej na podstawie przypisywanej mu przeze mnie roli, jaką odgrywa w odniesieniu do swych „rzeczywistych” bądź wewnętrznych, bądź „pozascenicznych” intencji. Także żona z rysunku w „New Yorkerze” postępuje w ten sam sposób, gdy słyszy swego męża, jak mówi, iż jest mu przykro, ale uznaje, że wcale nie jest mu przykro, że jedynie udaje, ponieważ wie, jakim człowiekiem on jest „w rzeczywistości”. I nawet gdybym natychmiast wziął słowa Derridy za dobrą monetę lub gdyby owa żona nigdy, nawet na chwilę, nie zwątpiła w szczerłość męża, to tak ona, jak i ja wciąż działalibyśmy wewnątrz jakiejś uprzedniej konstrukcji charakteru naszych interlokutorów. Jeśli przez „wypowiedzi sceniczne” rozumie się wypowiedzi, których moc illokucyjna musi być wywnioskowywana bądź konstruowana, to wszystkie wypowiedzi są wypowiedziami scenicznymi i nie da się ich odgraniczyć od wypowiedzi, które są „na poważnie”¹².

Istnieje jednakże jeszcze inny tryb podtrzymywania stanowiska, że wypowiedzi sceniczne czy literackie nie są „używane na poważnie”; można wskazać na ich perlokucyjne rezultaty albo raczej, jak czyni to Austin, na nieobecność tychże rezultatów: „Istnieją pasżytnicze użycia języka, które «nie są na poważnie», nie są «w pełni normalnymi użyciami». Normalne warunki odniesienia mogą zostać zawieszane, czy też, podczas typowego aktu perlokucyjnego, nie zostanie podjęta żadna próba, by spowodować, abyśmy uczynili cokolwiek, tak jak Walt Whitman nie nawołuje na poważnie orła wolności, by

ten wleciał” (HT, s. 104). Tutaj argument rozpoczyna się wraz ze słowami „na poważnie”, co wydaje się oznaczać uczciwie (*straightforwardly*) bądź niemetaforycznie i *dla tego* też - owocnie z punktu widzenia działania w świecie. Teza, krótko mówiąc, jest taka, że tylko wtedy, kiedy słowa wypowiedzi odnoszą się do możliwych do empirycznego określenia warunków, można je nazwać poważnymi. Lecz taka rygorystyczna definicja tego, co poważne, wykluczyłaby wiele aktów perlokucyjnych w naszej codzienności. Z pewnością na przykład polityk nawołujący orła wolności, by wleciał, czyniłby to na poważnie, częściowo dlatego, że usiłowałby sprawić, by słuchający go coś *zrobili*, aby myśleli o sobie jako namiestnikach (*extensions*) orła wolności. Ktoś chcący zachować różnicę pomiędzy tym, co poważne, a tym, co literackie, mógłby skorzystać z argumentu „z użycia” i wykazać, że polityk mówiłby po prostu jedno (metaforycznie), a miał na myśli coś innego (rzeczywistego); ale to samo można by zaobserwować w odniesieniu do poety lub dramatopisarza, który używa alegorycznej bajki, by skłonić do działań politycznych. Jednakże relacja pomiędzy efektem perlokucyjnym a metaforą jest określona i nie można zamieniać tego określenia na rozróżnienie pomiędzy wypowiedziami poważnymi i literackimi, skoro perlokucje i metafory odnajduje się w obu. Podobnej obserwacji nie trzeba czynić w odniesieniu do estetyki preromantycznej, która była otwarcie dydaktyczna i nakłaniająca (nie można sobie wyobrazić Milтона, Herberta lub Johnsona mówiących, że oczywiście nie oczekują od swych czytelników, by ci podjęli jakiegokolwiek działania, odpowiadając na treści zawarte w ich książkach); i podczas gdy niektóre nowoczesne (*modernist*) estetyki powiadają nam, że literatura musi być rygorystycznie oddzielona od działania jakiegokolwiek rodzaju, to przeczytanie czy wysłuchanie jakiegokolwiek sztuki bądź wiersza angażuje wydawanie sądów, podejmowanie decyzji, formowanie się postaw, wyrażanie aprobaty i dezaprobaty, poczucie empatii lub wstrętu i setkę innych, które są w równym stopniu efektami perlokucyjnymi co najbardziej jawny fizyczny ruch. Ostatecznie można najwyżej powiedzieć, że te rodzaje rezultatów perlokucyjnych wytwarzanych przez dyskurs literacki i nieliteracki są czasami, ale nie zawsze czy konieczne, odmienne, a i to nie wystarczy, by zagwarantować rozróżnienia, jakie Austin chce przeprowadzić pomiędzy zwyczajnymi i szczególnymi okolicznościami, pomiędzy użyciem normalnym i pasożytniczym, pomiędzy wypowiedziami z rzeczywistego świata (*real-world utterances*) i wypowiedziami scenicznymi bądź fikcjonalnymi. Za każdym razem warunki, jakie rzekomo odgraniczają słabszy czy pochodny przypadek, mogą zostać ukazane jako równie dobrze określające przypadek normatywny. Jak mówi Derrida, „to, co Austin wyklucza jako anomalię, wyjątek, «to, co niepoważne», *cytat* (na scenie, w wierszu lub monologu) jest określoną modyfikacją ogólnej cytawalności (*a general citationality*), czyli szczególnym przypadkiem generalnej zasady” (SEC, s. 191).

Istnieją dwa oczywiste zarzuty wobec takiej linii rozumowania. Pierwszy stawia sam Derrida: jeśli wszystkie wypowiedzi, zarówno poważne jak i fikcjonalne, są oddzielone od znajdującego się w centrum źródła (*centering origin*) i pozostawione „istotowemu dryfowi” (*essential drift*) (SEC, s. 182), to jak to się dzieje, że udaje się w świecie zadowolająco załatwić jakiegokolwiek sprawy związane ze słowami? Nie można zaprzeczyć, przynajmniej Derrida, „że istnieją także performatywy, które odnoszą skutek, i należy to wyjaśnić: zwołuje się spotkania... ludzie mówią: «stawiam pytanie»; zakładają się, wzywają do zrobienia czegoś, chrzczą statki, a czasem nawet biorą ślub. Wydawałoby się, że wszystkie te rzeczy występują. A nawet jeśli tylko jedna z nich miała miejsce tylko raz, to wciąż byłibyśmy zobowiązani do wyjaśnienia tego” (SEC, s. 191).

Derrida najpierw odpowiada na swój zarzut, mówiąc „być może”, a następnie zabierając się za bliższe zbadanie pojęcia „zachodzenia” (*occurrence*). Jeśli przez zachodzenie rozumie się jakieś wydarzenie, którego oczywistość może zostać zweryfikowana przez niezależne świadectwo z *zewnątrz*, to takie wydarzenie nie ma miejsca (*occur*), ponieważ nie ma „całkowicie ujednoczonego kontekstu” (*totally saturated context*), kontekstu tak przezroczystego, że jego wskazówki interpretacyjne mogą zostać odczytane przez kogokolwiek niezależnie od jego stanowiska; [nie ma] kontekstu, który wyklucza interpretację, dlatego że nosi swój sens [wypisany] na twarzy. Lecz jeśli przez zachodzenie rozumie się przekonanie [leżące] po stronie dwóch lub więcej kontekstualnie połączonych rozmówców, iż jakiś konkretny akt mowy miał miejsce, to takie zdarzenia mają miejsce przez cały czas, chociaż niezależnie od tego przekonania żadne zewnętrzne świadectwo nie mogłoby zweryfikować komunikacji. (Oczywiście, rozmówcy często później *działają* zgodnie z przekonaniem, że komunikacja zaszła i że kontynuowanie działania jest jakimś rodzajem weryfikacji; ale *wynika* to z przekonania, a nie mieści się poza nim).

Derrida podaje jako przykład kontekstu swój wygłoszony ustnie tekst pod tytułem *Signature Event Context*, filozoficzne kolokwium w języku francuskim, którego tematem była komunikacja. Derrida nazywa to kolokwium „konwencjonalnym kontekstem wytworzonym przez jakiś rodzaj consensusu, który jest milczący ale strukturalnie niejasny” (SEC, s. 174). Oznacza to, iż, podczas gdy consensus ten z pewnością obowiązuje, to nie może być on utożsamiany z jakimś jawnym stwierdzeniem [jego istnienia], ponieważ samo owo stwierdzenie byłoby „konsensualnie” odczytywalne jedynie przez tych, których świadomość jest już wypełniona celami i założeniami, zapewniającymi kolokwium jego tożsamość. Spostrzeżenie to Derrida czyni w jednym ze swoich typowych żartów, kiedy przedstawia własne stanowisko – formalne i napisane – wobec owego consensusu. Zrozumiałe jest, wyjaśnia on, że uczestniczy się w tym kolokwium po to, aby „zapropozować «komunikację» dotyczącą komunikacji, komunikację w formie dyskursywnej, komunikację kolokwialną, komunikację ustną przeznaczoną do słuchania i do angażowania się w nią lub prowadzenia rozmów w horyzoncie zrozumiałości i prawdy, które są znaczące” (SEC, s. 174). Ale wszystko to, powiada, jest „oczywiste, a ci, którzy powątpiewają w to, muszą tylko zerknąć do programu, aby się przekonać” (SEC, s. 174). Dowcip polega na tym, że będzie to oczywiste jedynie dla tych, którzy *potrafią* zerknąć do programu lub którzy wiedzą, co to znaczy zerknąć do programu filozoficznego kolokwium, a oni *już* są przekonani, gdyż ich zdolność zerknięcia współwystępuje z wiedzą, dlatego tam się znaleźli. Ktoś pozbawiony tej zdolności – przechodzień, któremu się przydarzyło zabłądzić do sali obrad - mógłby jedynie przekonać się, że nie ma tu dla niego miejsca.

Oto jak zdarzają się skuteczne performatywy za pomocą podzielanych założeń, które umożliwiają mówiącym i słuchającym przypisywanie tego samego sensu słowom, wymieniającymi. Wyjaśnia to także, dlaczego występowanie skutecznych performatywów nie jest pewne, bo ci, którzy słyszą wewnątrzodmiennych założeń, będą wytwarzać odmienny sens. Jednym ze sposobów, by oprzeć się tej argumentacji, sprawiając wrażenie zgody na nią, jest uczynienie z zestawu założeń przedmiotu [badania] przez stworzenie projektu jego opisu. Derrida sądzi, że jest to projekt, jaki Austin realizuje pod nazwą „kontekst”, kiedy oznajmia w słynnym fragmencie, że „to, co musimy badać, to *nie* zdanie, lecz wygłaszanie wypowiedzi w sytuacji mówienia” (HT, s. 138). To wyrwanie niezależnego (*freestanding*) zdania z jego tradycyjnego uprzywilejowanego położenia zwykle uznaje się za najsilniejsze posunięcie Austina; lecz Derrida uważa, że to posunięcie robi

bardzo niewielką różnicę, skoro sytuacje mówienia bądź konteksty są pomyślane jako samo-identyfikujące się, albowiem dojdzie wtedy tylko do tego, że jeden samo-interpretujący się byt zostanie zastąpiony przez inny. Zamiast zdań oznajmających swoje znaczenie, będziemy mieli teraz konteksty, które oznajmiają swoje znaczenie.

Rzecz rozgrywa się tutaj pomiędzy dwoma pojęciami kontekstu: tradycyjnie kontekst definiuje się jako zbiór cech, a zatem jako coś, co może zidentyfikować jakikolwiek obserwator mający oczy szeroko otwarte; ale Derrida myśli o kontekście jako o strukturze założeń i tylko ci, którzy trzymają się tych założeń lub też są przez nie trzymani, mogą je najpierw dostrzec, a następnie zidentyfikować jako należące do kontekstu. Jest to różnica pomiędzy myśleniem o kontekście jako czymś w świecie a myśleniem o nim jako o *konstrukcji* świata, konstrukcji, która sama została wykonana w warunkach należących do jakiegoś kontekstu. Według tego drugiego rozumienia nie można już dłużej tak po prostu (tj. bez interpretacji) odwołać się do kontekstu po to, aby rozstrzygać dyskusje lub rozwiewać wątpliwości na temat znaczenia, gdyż konteksty, choć produktywnie dla interpretacji, stanowią także wytwór interpretacji. Bezużyteczne byłoby, na przykład, rozstrzyganie kłótni pomiędzy mężem i żoną na rysunku z „New Yorkera” przez odwołanie się do kontekstu, ponieważ kłótnia ma miejsce właśnie dlatego, że kontekstualne warunki swojej rozmowy odbierają oni inaczej. Rzecz jasna, wciąż jest tak, jak przyznaje Derrida, że przeprosiny są pomyślnie składane i przyjmowane („istnieją także performatywy, które są skuteczne”), ale kiedy to się zdarza, dzieje się tak dlatego, że strony wciąż dzielą bądź są podzielone przez te same kontekstualne złożenia. Dzieje się tak nie dlatego, że każdy może sprawdzić, co mówi ktoś inny, odwołując to do jakichś niezależnie dostępnych cech empirycznego kontekstu. Kontekstualne cechy prostej wymiany są nie mniej „odczytywane” i tym sposobem nie są bardziej „absolutnie” ograniczające niż kontekstualne cechy przedstawienia scenicznego czy rozmowy zrelacjonowanej w wierszu.

To z kolei prowadzi mnie wprost do drugiego sprzeciwu wobec tej linii argumentacji, sprzeciwu (mówiącego), że zaprzecza ona oczywistym różnicom pomiędzy fikcją i realnym życiem. Faktycznie jednak niczemu ona nie zaprzecza. Po prostu podkreśla, że różnice, jakiegokolwiek by one nie były (a nie zawsze są takie same), nie układają się wokół jakiegóś podstawowej bądź wyróżnionej różnicy pomiędzy niezapśredniczonym doświadczeniem a doświadczeniem, które jest wytworem działalności interpretacyjnej. Jeśli prawdą jest, jak utrzymują Searle, Ohmann i inni, że budujemy świat powieści, czytając ją w obrębie zbioru kształtujących konwencji czy strategii interpretacyjnych, to w nie mniejszym stopniu jest także prawdą przybieranie oczywistego kształtu przez równie konwencjonalne światy, w obrębie których doświadczamy prawdziwego życia. Takie „fakty”, jak gra w baseball, sytuacja w klasie, zjazd rodzinny, wyprawa do sklepu spożywczego, kolokwium filozoficzne na temat języka francuskiego są faktami jedynie dla tych, którzy działają wewnątrz uprzedniej wiedzy o celach i praktykach, które leżą u podstaw tych działań. I znowu nie oznacza to, że nie ma między nimi żadnej różnicy, lecz tylko, iż one wszystkie mają charakter konwencjonalny tak samo jak fakty, które za sobą pociągają.

Wynikiem jest nie odrzucenie rozróżnień, ale powtórne określenie ich jako rozróżnień pomiędzy odmiennymi rodzajami działalności interpretacyjnej. Tak więc można by przeciwstawić sobie prawo, gdzie praktyka interpretacyjna wymaga pojedynczego odczytania (werdyktu), z praktyką krytyki literackiej, gdzie istnieje nacisk, [by dokonywać] wielu odczytań (do tego stopnia, że tekst, który wydaje się oferować tylko jedno odczytanie znalazłby się w niebezpieczeństwie utraty określenia „literacki”). A jeśli to prze-

ciwstawienie zostałyby rozszerzone na „zwyčajną rozmowę”, to praktyka interpretacyjna okazałaby się bardziej podobna do prawa niż do krytyki literackiej. Ponieważ pojedyncze odczytanie jest tu przyjętą normą, lecz inaczej niż w prawie, odczytania tego nie potrzeba wypracowywać, bo milczącą regułą zwyczajnej rozmowy jest to, że akceptuje się rzeczy tak, jak (kontekstualnie określone) się jawią i nie próbuje się przenikać pod powierzchnię (znów kontekstualnie określona) wypowiedzi. (Austin czyni z tego regułę etyczną na stronach 10 i 11 tekstu *How to Do Things with Words*). To właśnie naruszenie tej reguły powoduje, że rysunek z „New Yorkera” jest zabawny; nie powinno się kwestionować powierzchownej szczerości w codziennych kontaktach, a kiedy to czynimy, to pojawiające się w rezultacie zaburzenie od razu wydaje się irytujące (dla męża z rysunku) i śmieszne (dla czytelników „New Yorkera”). Można by w takim razie powiedzieć, że zwyczajny czy codzienny dyskurs charakteryzuje pewność interpretacyjna, a w rezultacie minimalna samoświadomość działalności interpretacyjnej. Nie powinno się tego rozumieć w ten sposób, że warunki empiryczne zwyczajnego dyskursu *wymuszają* pewność interpretacyjną, to już raczej pewność interpretacyjna, jako założenie, które wytwarza określone zachowanie, wytwarza także empiryczne warunki, jakie zakłada.

Oczywiście, można by tu rzec o wszystkich konwencjonalnych działaniach, z których każde pojawia się w jakimś układzie, działanie takie także rozwijającym (*elaborates*), i z których każde konstytuuje fakty w swoim polu odniesienia. To podsuwa nam możliwość nowego projektu czy nowej metafizyki, taksonomicznego podejścia do konwencjonalnych działań i różnych rodzajów faktów, które nam one udostępniają. Takie podejście jednakże samo byłoby jakimś działaniem konwencjonalnym, a zatem nie mogłoby umknąć „interesowności”, do której opisu rościłoby sobie prawo. Co więcej, podejście takie nigdy nie potrafiłoby dotrzymać kroku zdolnościom konwencjonalnych praktyk do modyfikacji, do kurczenia się bądź rozrastania tak, że granice pomiędzy nimi, wraz z faktami przez owe granice wykreślonymi, nieustannie się zmieniają. Jednym słowem, konwencjonalne różnice same są kwestią konwencji i nie są bardziej dostępne bezpośredniemu badaniu niż fakty, które za sobą pociągają. Właśnie dlatego określenie zarówno, czy coś jest faktem czy nie, jak i jakiego rodzaju jest to fakt, może stanowić kwestię dyskusyjną, kiedy wprowadza się w życie różne kryteria różnicy; właśnie dlatego też dyskusje takie mogą zostać rozstrzygnięte jedynie przez przywołanie procedur dowodowych (*evidentiary procedures*), które będą nie mniej konwencjonalne niż fakty, które mają ustanowić. Moja poranna gazeta donosi, że w Annapolis postawiono tablicę upamiętniającą przybycie do Ameryki Kunta Kinte, wysiedlonego Afrykańczyka. W tym samym czasie władze Dublinu przeciwstawiają się wysiłkom komitetu wielbicieli Joyce’a (*Joyceans*), by przytwierdzić pamiątkową tablicę na drzwiach domu, w którym urodził się Leopold Bloom, odwołując się do tego, iż jest on jedynie postacią fikcyjną. Te dwie sprawy wydają się jednoznaczne tylko do momentu, kiedy zacznie się je badać. Pierwotnym dokumentem zaświadczającym o niezależnym istnieniu Kunta Kinte są *Korzenie* Alexa Haleya, praca, której integralność – jako rezultatu badań – jest bardzo wątpliwa; podczas gdy, jak ostatnio zauważył Hugh Kenner, Bloom to postać pełniej udokumentowana niż irlandzki bohater narodowy Cuchulain, którego figura stoi w dublińskim urzędzie pocztowym. Granicy pomiędzy faktem i fikcją nie można definitywnie wytyczyć ani przez powiedzenie, że naprawdę istniał kiedyś Kunta Kinte niezależnie od tego, jak niedoskonale rzecz jest udokumentowana, ani przez utrzymywanie, że istniał jakiś niewolnik o podobnym imieniu, którego postać [stworzona przez] Haleya jest reprezentacją; ponieważ to samo można powiedzieć o Bloomie, będącym reprezentacją, jak wierzy wie-

lu uczonych, człowieka o nazwisku Hunter, dublińczyka, który zmienił nazwisko (być może z Bloom), ponieważ identyfikowało go ono jako Żyda. Nie chodzi o to, iż granic tych nie da się ustalić, ale o to, że zostają ustalone przez interpretacyjne czy instytucjonalne działania, a nie przez świadectwa, dostępne niezależnie od takich działań. Jeśli Kunta Kinte ma swoją tablicę pamiątkową w Annapolis, to nie dlatego, że uznano go obiektywnie za realną osobę; to raczej uznanie go za osobę realną, kiedy i jeśli jest zupełne, będzie łącznym wytworem takich działań, jak postawienie tablicy upamiętniającej go, a moc *takich* działań zależy od konwencji wiążących stawianie tablic z uznawaniem postaci historycznych.

Problem znów nie w tym, że nie istnieje coś takiego jak postacie historyczne, lecz że ta kategoria jest nie mniej konwencjonalna (z członkostwem (w niej) ustanowionym konwencjonalnie) niż kategoria postaci fikcyjnych. Fakt, że jest to kategoria konwencjonalna, nie oznacza jednak, że samo rozróżnienie: albo Kunta Kinte realnie istniał, albo nie – jawi się jako konwencjonalne. Ale procedury ustalania *faktu* jego realności zawsze będą konwencjonalne; to znaczy, fakt zawsze będzie posiadał status czegoś określonego wewnątrz jakiegoś systemu inteligibilnego (*a system of intelligibility*) i nigdy nie posiada statusu czegoś określonego poza jakimkolwiek systemem. Niemniej jednak, ponieważ zawsze istnieje jakiś system, wypełniony procedurami dowodowymi i regułami ich stosowania, to takiego określenia zawsze może dokonać (choć, wobec roszczeń innych systemów, zawsze można je podważać).

Właśnie dlatego Derrida ostentacyjnie *odmawia* dojścia do wniosku, że „nie istnieje żaden performatywny efekt, efekt zwyczajnego języka, efekt obecności czy zdarzenia dyskursywnego (aktu mowy). Jest po prostu tak – powiada – „że te efekty nie wykluczają tego, co jest ogólnie im przeciwstawione, jedno pojęcie po drugim; przeciwnie, z góry zakładają to ... jako ogólną przestrzeń swjej możliwości” (SEC, s. 193). Oznacza to, że *istnieją* różnice w doświadczanym świecie dyskursu, które korespondują z różnicami tradycyjnie ustanowionymi pomiędzy komunikacją twarzą w twarz a komunikacją osłabioną, pomiędzy postaciami historycznymi i fikcyjnymi. Chodzi po prostu o to, że owe różnice nie tyle biorą się z jakiejś *podstawowej* różnicy pomiędzy doświadczeniem bezpośrednim i zapośredniczonym, ile raczej wyznaczają różnorodność zapośredniczania. Prawdą jest, że ta różnorodność może zostać uporządkowana ze względu na dystans wobec jakiegoś idealnego czy normatywnego przypadku, przypadku zwykłych warunków (*ordinary circumstances*), lecz, jak widzieliśmy, nie jest on niczym więcej niż pewnym zbiorem praktyk interpretacyjnych (takich jak praktyka zakładania (czyjejs) szczerości), który wytwarza to, co pozornie leży u podstaw tych praktyk. Dystans nie jest jakimś szczególnym warunkiem, w odniesieniu do którego interpretacja staje się konieczna; stanowi warunek ogólny („ogólna przestrzeń ... możliwości”) wytwarzający wszystko, wliczając w to okoliczności (*circumstances*) – zwyczajne, czy też okoliczności pełnej obecności – od których rzekomo się uwalnia. Jakakolwiek hierarchia sytuacji komunikacyjnych nie obowiązywałaby, to nie jest ona hierarchią naturalną, chociaż w przestrzeni, którą wytworzyły instytucje i konwencje – ostatecznie w jedynej dostępnej przestrzeni - odbierze się ją jako naturalną, przynajmniej do czasu podważenia jej i ponownego ukonstytuowania się w innej, równie zinstytucjonalizowanej formie¹³. Chociaż nie istnieje czysty performatyw w takim sensie, który zezwala na wykluczenie przez Austina wypowiedzi scenicznych, to istnieje, jak wyjaśnia Derrida, „relatywna czystość” performatywów, ale – ciągnie dalej – „owa relatywna czystość nie wyłania się w opozycji do cytowalności (*citationality*) czy powtarzalności (*iterability*) (określenia

Derridy w *Signature Event Context* na to, co instytucjonalne), lecz w opozycji do innych typów powtarzania wewnątrz ogólnej powtarzalności” (SEC, s. 192). Owa powtarzalność – warunek odczytania czegoś – wypełnia całą przestrzeń i nie może zostać przeciwstawiona „pojedynczemu i pierwotnemu zdarzeniu-wypowiedzi”, przezroczystemu i prostemu aktowi mowy, którego *How to Do Things with Words* jest rozbudowanym, lecz nieskutecznym poszukiwaniem.

3.

Derrida, pojawiający się na poprzednich stronach, może zaskoczyć niektórych czytelników, jako że nie całkiem wygląda na apostoła „wolnej gry”, którego nauczyli się obawiać bądź też podziwiać. Podczas gdy z pewnością nie jest on wyznawcą zdeterminowanego znaczenia (*determinate meaning*) w taki sposób, jaki zadowoliliby, powiedzmy, M.H. Abramsa czy Fredericka Crewsa, to wierzy on, że komunikacja między dwiema lub więcej osobami regularnie ma miejsce, i to w dodatku z „relatywną” pewnością, która zapewnia ciągłość codziennego życia. Derrida, w większym stopniu niż kimś, kto zaprzecza leżącym u jego podstaw założeniom i konwencjom, jest filozofem zdrowego rozsądku, w obrębie których określony zostaje kształt zdrowego rozsądku i gdzie nabiera swej potężnej mocy. Można by nawet rzec, z odpowiednimi zastrzeżeniami, iż jest on filozofem języka potocznego. Mówiąc to, sugeruję, że Derrida i Austin mogą nie być tak od siebie odlegli, jak niektórzy uważają. Searle odpowiada Derridzie, stwierdzając, że konfrontacja pomiędzy nimi „nigdy właściwie nie ma miejsca”, ponieważ przepaść ich oddzielająca jest tak wielka jak „błędy” Derridy¹⁴. Rzeczywiście konfrontacja między nimi nigdy właściwie nie ma miejsca, ponieważ ostatecznie nie ma pomiędzy nimi wystarczająco dużo przestrzeni, aby pomieścić konfrontację. W dalszym ciągu tego eseju chcę przeprowadzić rozumowanie wychodzące właśnie z przeciwnego kierunku, skupiając się na procesie, w którym, we wnioskach z *How to Do Things with Words*, rzekomo normatywna klasa konstatacji jest ukazana jako część rzekomo wyjątkowej klasy performatywów. Gdy tylko odwrócenie to zostanie dokonane, następuje wszystko to, o czym mówi Derrida, włączając w to zakwestionowanie przez niego wykluczenia fikcyjnych czy scenicznych wypowiedzi.

Oryginalne rozróżnienie, tak jak zostało pierwotnie podane, przeciwstawia wypowiedzi odpowiedzialne wobec faktów niezależnego świata wypowiedziom powodującym zaistnienie faktów pewnego rodzaju. Wypowiedzi pierwszego typu to konstatacje, których rolą jest „opisanie” pewnego stanu rzeczy lub «stwierdzenie pewnego faktu», co uczynić muszą albo prawdziwie, albo fałszywie” (HT, s. 1). Performatywy, z drugiej strony, są działaniami w tym sensie, że raczej powodują i tworzą niż relacjonują stany rzeczy. Jeśli powiem, „obiecuję (zrobić X), to rezultat takiego „działania mówionego” ma ustanowić przyszły obowiązek (właśnie tym, na mocy definicji, jest obietnica); ten obowiązek nie był jakimś uprzednim faktem, na podstawie którego relacjonowałem coś, mówiąc „obiecuję”, lecz faktem, który pojawił się w świecie z racji powiedzenia przeze mnie „obiecuję”. Oczywiście, stworzenie obowiązku nie zależy tak po prostu od słów, ale od wypowiedzenia słów w odpowiednich okolicznościach; jeśli obiecuję zrobić coś, co już zrobiłem, coś, co nie przyniesie temu, komu to obiecuję, korzyści, bądź coś, co i tak miałem właśnie uczynić, to obietnica będzie pusta, nieważna czy też niestosowna z różnych powodów analizowanych przez Searle’a w *Czynnościach mowy*. Stosowność, zatem, przysługuje performatywowi tak, jak prawda i fałsz przysługują konstatacjom. Róż-

nica polega na tym, że stosowność jako kryterium (standard) zmienia się w zależności od okoliczności - jest społecznym czy instytucjonalnym osądem - podczas gdy prawda i fałsz jako kryterium odnoszą się do relacji (pomiędzy słowem i światem), która zawsze zachodzi.

Chociaż Austin kreśli tę różnicę bardzo wyraziście na pierwszych stronach, to znaczna część książki poświęcona została jej zamazywaniu. Zamazywanie rozpoczyna się wraz z ostatnim zdaniem pierwszego rozdziału: „Fałszywy” niekoniecznie odnosi się jedynie do stwierdzeń” (HT, s. 11). Na końcu rozdziału IV mówi się nam, iż „aby wyjaśnić, co może w stwierdzeniach szwankować, nie możemy się koncentrować jedynie na wchodzącym w grę sądzie (*proposition*) (cokolwiek to jest) tak, jak to się czyniło tradycyjnie” (HT, s. 52). Nawias opowiada swoją własną historię: jeśli nie potrafimy wyizolować sądu (*proposition*), to będzie trudno wyodrębnić własności stwierdzenia. Na początku rozdziału V Austin przyznaje, że „istnieje niebezpieczeństwo załamania się naszego początkowego ... rozróżnienia na konstatacje i performatywy”, a rozdział VI otwiera sugestią, że „performatyw nie jest w tak oczywisty sposób całkowicie różny od konstatacji” (HT, s. 54, 67). W rozdziale VII Austin zatrzymuje się, by „rozważyć, gdzie się znajdujemy” i donosi, że teraz już „znaleźliśmy wystarczające wskaźniki, że niefortunność wydaje się charakteryzować oba rodzaje wypowiedzi (...) i że wymóg podporządkowywania się czy pozostawania w pewnej relacji z faktami (...) wydaje się charakteryzować performatywy (...) podobnie do sposobu, w jaki określono w doniesieniu do przypuszczalnych konstatacji” (HT, s. 91).

Fakt odnoszenia się teraz do konstatacji jako „przypuszczalnych” uświadamia nam wagę tego, co się dzieje; to nie tylko pojęcia się zamazują, lecz cała hierarchia zaczyna ulegać rozluźnieniu. Oznacza to, że łączenie performatywów i konstatacji ostatecznie odbywa się z korzyścią dla performatywów, które w tradycyjnym modelu były klasą pośrednią i drugorzędną, ponieważ zależały od okoliczności, a nie od sądów co do prawdy i fałszu, lecz teraz sądy o prawdzie i fałszu zostały ukazane jako podlegające okolicznościom w takim samym stopniu jak sądy o stosowności (które same zostały ukazane jako nierozłączne z pytaniami o „fakt”), z takim skutkiem, że konstatacje nie mogą już być definiowane jako posiadające przezroczystą relację z faktami. W rzeczy samej pojęcie „faktu” zostało zdestabilizowane przez dokładnie ten sam proces, ponieważ skoro fakty ustanawiane są za pomocą prawdziwych/fałszywych sądów (czy tak się sprawy mają, czy nie), to uzależnianie tych sądów od okoliczności jest także uzależnianiem faktów od okoliczności; oznacza to, że na pytanie o to, czy coś jest, czy nie jest faktem, odpowie się różnie w różnych okolicznościach.

Austin czyni to otwarcie w ostatnim rozdziale, gdy oznajmia, że „prawda i fałsz nie są (...) nazwami relacji, jakości, a jedynie jakimś wymiarem oceny” (HT, s. 148). Przez „wymiar oceny” ma on na myśli „jakiś ogólny wymiar bycia czymś poprawnym bądź właściwym do powiedzenia w przeciwieństwie do czegoś niewłaściwego w takich okolicznościach, dla takich a takich odbiorców, dla takich a takich celów i z takimi a takimi intencjami” (HT, s. 144). Jego przykład – „Francja jest sześciokątna” – z pewnością jest konstatacją, jeśli w ogóle cokolwiek nią jest (HT, s. 142). Prawda to czy fałsz? - pyta. Cóż, być może przy pewnych zamierzeniach i dla pewnych celów to mogłaby być prawda, na przykład gdyby zostało to wypowiedziane w wojskowym wymiarze oceny przez jakiegoś generała; lecz równie dobrze mogłoby to być fałszywe w przypadku wypowiedzenia tego w innym wymiarze oceny, na zjeździe geografów. Nie chodzi tylko o to, że zmieniają się pojęcia, w obrębie których wygłaszany jest sąd; przedmiot faktu (*the object of fact*),

w stosunku do którego wydaje się sąd, także się zmienia. W jednym wymiarze Francja jest wyobrażana jako cel wojskowy, w drugim jako kształt, który musi zostać zredukowany do skali sporządzającego mapę. Kusi, by rzec, że u podstaw tych różnych perspektyw znajduje się jeden faktyczny byt, „rzeczywista” Francja, lecz to określenie może jedynie oznaczać Francję wyobrażoną całkowicie poza jakimkolwiek wymiarem oceny, a to jest dokładnie to, czego nie sposób uczynić. O Francji można jedynie pomyśleć, czy nawet Francję można jedynie pomyśleć, w obrębie jakiegoś wymiaru oceny, tak więc zawsze będzie się o niej myślało jako o posiadającej czy nieposiadającej kształt tego rodzaju, jaki jest odpowiedni do tego wymiaru. Francja, o której mówimy, zawsze będzie wytworem takiego typu mówienia (wojskowego, geograficznego, kulinarnego, ekonomicznego, literackiego), w jaki się angażujemy, i nigdy nie będzie nam dostępna w ogóle poza jakimkolwiek rodzajem mówienia, gdzie mogłaby funkcjonować jako obiektywny punkt weryfikacji.

Austin stawia sprawę nawet jaśniej w następnym przykładzie. „Lord Reglan wygrał bitwę o Almę”. Prawda czy fałsz? Cóż, zależy to, między innymi, czy pojawia się to w podręczniku szkolnym, czy w pracy będącej rezultatem badań historycznych. W podręczniku można by to zaakceptować jako prawdziwe z powodu działania założeń co do tego, czym jest bitwa, co składa się na zwycięstwo, relacji między wodzem a sukcesem lub porażką i tak dalej; w pracy będącej rezultatem badań historycznych wszystkie te założenia mogły zostać zastąpione przez inne z takim skutkiem, że pojęcia „bitwy” i „wygranej” uzyskały odmienny kształt. Błędem byłoby sądzić, że „bitwa o Almę” była czy kiedykolwiek mogła być jakimś faktem wolnym od interpretacji. Podobnie jak Francja, stanowi ona wytwór kontekstu interpretacyjnego – wymiaru oceny – w obrębie którego została wyobrażona.

Takie stanowiska wobec Francji i bitwy o Almę komplikują przykłady, jakie Austin podał wcześniej, by zilustrować swoje pierwotne rozróżnienie. W rozdziale IV podał wypowiedź „On biegnie” jako modelową konstatację, ponieważ jej prawdziwość może zostać łatwo określona przez sprawdzenie jej w stosunku do „faktu, że biegnie” (HT, s. 47). Lecz kiedy już raz zdamy sobie sprawę z tego, że fakty są jedynie faktami w obrębie jakiegoś wymiaru oceny, to relacja przezroczystości (*the relation of transparency*) pomiędzy konstatacją i stanem rzeczy, który ona „relacjonuje”, jest natychmiast wystawiona na szwank. Wystarczy tylko wyobrazić sobie kogoś mówiącego „Ty to nazywasz biegiem, toż to zaledwie trucht”, aby zobaczyć, że pasowanie do siebie opisu i faktu będzie jedynie oczywiste dla tych, dla których wypowiedzi w języku opisowym korespondują z ich przekonaniami (*beliefs*) na temat tego, co jest w świecie. Jeśli dwóch mówiących pojmuje odmiennie różnicę pomiędzy biegiem i truchtem (lub jeśli ktoś wcale tego nie rozróżnia), to nie będą się oni zgadzać co do trafności [słów] „on biegnie”, ponieważ każdy z nich będzie sprawdzał wypowiedź w stosunku do odmiennego zbioru określonych przez „wymiar oceny” faktów (*a different set of dimension-of-assessment specific facts*). Oczywiście, zawsze jest możliwe, że ktoś trzeci przyłączy się do dyskusji i z niejakim samozadowoleniem rzeknie „Obaj spieracie się o semantykę; chcielibyście [mieć] słownik niezanurzony w żadnej perspektywie. Gdybyście mieli opisać to zachowanie, używając pojęć siły, stosunku drogi do szybkości, oporu, kątów, prędkości i tym podobnych, to uzyskalibyście jego neutralną teorię i wtedy dopiero moglibyście się spierać o to, czy nazwać to biegiem, czy truchtem”. Nie ma powodu, aby wątpić, że jako strategia byłoby to skuteczne, ponieważ zawsze można uciec się do słownika na wyższym poziomie ogólności (wyższym poziomie podzielanych założeń) niż poziom, na którym toczy

się spór. Lecz podczas gdy słownik może rosnąć w górę i wchłaniać różniące się perspektywy dyskutujących, to sam będzie wychodził z faktów, i odnosił się do faktów tej czy innej perspektywy. A zatem podejście, które wytwarza, choć perswazyjne i przekonujące dla wszystkich zainteresowanych, nie będzie posiadało żadnej epistemologicznej nadrzędności wobec podejść, poza które wykracza. Mówienie o kątach, stosunkach i prędkościach może być bardziej prestiżowe w grze o „trafny” opis niż mówienie o biegu i truchcie, lecz wciąż jest to mówienie umożliwiające w swej inteligibilności przez jakiś wymiar oceny i dlatego też odpowiedniość, którą uzyskuje takie mówienie, będzie relatywna wobec faktów takich, jakimi one są w obrębie tego wymiaru.

W tej analizie wciąż istnieje jeszcze dziedzina przeznaczona dla konstatacji: lecz nie da się już jej pojmować jako zawierającej uprzywilejowaną relację z rzeczywistością. Podczas gdy w rozdziałach otwierających *How to Do Things with Words* konstatacje odpowiadają przed światem „takim jaki on jest”, to w rozdziale XXI konstatacje odpowiadają przed światem takim, jakim jest on dany w obrębie wymiaru oceny. Zamiast zajmowania centralnego miejsca, w relacji do którego inne użycia języka są pochodne i pasożytnicze, konstatacje są raczej takie jak wszystkie inne akty mowy z tym, że warunek ich możliwości (warunek działania zawsze w obrębie jakiegoś wymiaru oceny czy wspólnoty interpretacyjnej) na zawsze odsuwa je od jakiegokolwiek kontaktu z niezapśredniczoną obecnością. Na mocy więc argumentu samego Austina wykluczenie wypowiedzi scenicznych oraz innych wypowiedzi osłabionych jako dewiacje wobec zwyczajnych okoliczności przestaje obowiązywać, ponieważ z chwilą, gdy absolutne (w przeciwieństwie do konwencjonalnego) rozróżnienie między konstatacjami i performatywami nie może już być utrzymane, zwyczajne okoliczności – okoliczności, w których przedmioty, zdarzenia i intencje są bezpośrednio osiągalne – ukazane zostają jako jakiś niemożliwy ideał.

Wydaje się zatem, iż Derrida ma rację, odnajdując w samym sercu przedsięwzięcia Austina sprzeczność między rozpoznaniem przez niego ryzyka, czy [możliwości] niefortunności, właściwym wszystkim aktom mowy, a jego usiłowaniem kontrolowania tego ryzyka przez wykluczenie z rozważań jednej klasy aktów mowy, ponieważ są one zainfekowane owym ryzykiem. Derrida uznaje tę strategię za „osobliwą”, ale sam kieruje nas ku bardziej wielkoduszemu czytaniu tekstu Austina, gdy określa go jako „cierpliwego, otwartego, aporetycznego, nieustannie się zmieniającego, często bardziej owocnego w rozpoznawaniu swych trudności niż osiągnięć” (SEC, s. 187). Wydaje mi się to w pełni słuszne; jedyne, co pozostaje stałe w *How to Do Things with Words* to to, że nic nie jest stałe: żaden termin, żadna definicja, ani żadne rozróżnienie nie jest w stanie przetrwać dłużej niż pozwala na to argument, wiele z nich nie jest w stanie przetrwać akapitu czy zdania, w których pojawiają się po raz pierwszy. Obalenie rozróżnienia, od którego książka się zaczyna, stanowi oczywiście najbardziej dramatyczny przykład tego działania, lecz książka obfituje i w przykłady pomniejsze, które są takie same w tym, że jednocześnie posuwają naprzód i cofają argumentację. Wcześniej Austin przedstawia nam zapatrywanie na swoją „metodę” kiedy mówi o tendencjach w filozofii, by zaczynać od pogorszenia sprawy i radośnie konstatuje „Musimy najpierw nauczyć się biegać, zanim zaczniemy chodzić” (HT, s. 12). Przez odwrócenie tradycyjnego przysłowia Austin powiadamia nas z góry, że postęp w tej książce będzie kwestią podawania definicji (*declaring definitions*), które następnie trzeba odwołać. Posuwanie się zaś naprzód będzie oznaczało posuwanie się wolniej, a być może nieposuwanie się w ogóle, jeśli wyobrażamy sobie nasz cel jako osiągnięcie niewątpliwej ścisłości i jasności. Coś dającego poczucie tego doświadczenia

jest zawarte w niezwykle ciekawym ciągu zdań na początku II rozdziału: „Jak dotąd zaledwie odczuliśmy, jak twardy grunt uprzedzeń wyslizguje się nam spod stóp. Lecz jak teraz – jako filozofowie – mamy postępować? Jedną z rzeczy, którą moglibyśmy zacząć czynić, jest wycofanie tego wszystkiego, drugą byłoby grzeźnięcie w logicznie następujących po sobie etapach. Lecz na to wszystko potrzeba czasu” (HT, s. 13). Pierwsze zdanie sprawia, iż czujemy się nieswojo zarówno wobec przeszłości, z której zdaje ono sprawę, jak i wobec przyszłości, którą obiecuje. Nikt nie chce czuć się przywiązany do uprzedzeń, lecz jeszcze mniejszą mamy ochotę, by myśleć, że możemy w ogóle nie być zakotwiczeni (*grounded*). Ten Hobsonowski wybór natychmiast odtwarza się w dwóch alternatywnych kierunkach działania - cofaniu wszystkiego albo grzeźnięciu w logicznie następujących po sobie etapach. Więc kiedy Austin mówi: „Lecz na to wszystko potrzeba czasu”, to wcale nie jest jasne, czym „to wszystko” jest bądź czy, na tegoż końcu, znów będziemy mieć jakiś grunt pod stopami.

Jak już Austin raz zacnie (jeśli to właściwe słowo), to później regularnie naśladowa Boga, najpierw dając, a potem odbierając. Dalej, w rozdziale III, rozróżnia niepowodzenia w komunikacji, które biorą się z „wadliwych procedur”, oraz niepowodzenia, które pojawiają się, gdy procedury były poprawne, lecz niewłaściwie powołane do życia. Pierwsze nazywa „niewypałami”, drugie „nadużyciami”, a następnie, o pół sekundy za późno, upomina czytelnika: „Nie kładźmy nacisku na normalne konotacje tych nazw” (HT, s. 16). Rezultat tego jest złożony: nazwy zostały publicznie wypowiedziane, a rozróżnienie jest w mocy, lecz jednocześnie nazwy zostały zamglone, a rozróżnienia, jak to Austin natychmiast uświadamia, „nie są niepodważalne i trwałe”. Oczywiście, nie oczekuje się niepodważalnych i trwałych rozróżnień od autora, który przestrzega, że wszystkie nowe klucze, które wręcza, będą również ślizgawką pod nogami (HT, s. 25). Gdyby chcieć określić ten rodzaj pisarstwa, to można by nazwać go pisarstwem „pod gumką”, to znaczy pisarstwem, które jednocześnie używa jakiegoś słownika i zbioru koncepcji oraz je kwestionuje. Rzecz jasna, pisanie „pod gumką” jest określeniem, które wiąże się z Derridą (który zapożycza to od Heideggera). Przywołując je delikatnie, zbliżam się do tezy, która na pierwszy rzut oka może wydawać się sprzeczna z intuicją, [tezy], że kiedy wszystko już zostaje powiedziane i zrobione, Derrida i Austin są bardzo do siebie podobni. Są podobni w pisaniu prozy, komplikującej swoje wyjściowe stwierdzenia (*assertions*) i zaciemniającej przeciwstawienia, na których przypuszczalnie się opiera.

Zawsze rozpoznawano to u Derridy, częściowo z powodu nieustającej trudności jego prozy; nawet w jej warstwie powierzchniowej rzuca się w oczy stopień, w jakim ten dyskurs zainteresowany jest (wręcz obsesyjnie) swoim statusem. Jednakże w przypadku Austina możliwe było przemykanie oczu na jego styl, albo dlatego że uznano go za nieistotny dla treści jego filozofii, albo dlatego że został uznany za pewną manierę typową dla profesora Oxfordu. Lecz w rzeczywistości nie jest to w ogóle maniera, ale świadomie zastosowana strategia, której zamiarem jest wywołanie między innymi zniecierpliwienia i irytacji. W pewnym miejscu mówi bardzo dużo na ten temat. „Wielu z was zniecierpliwienia to podejście – do pewnego stopnia całkiem słusznie. Powiecie, «Dlaczego nie wyciąć całej gadaniny? ... Dlaczego w prosty sposób nie przejść do dyskusowania sprawy od razu, korzystając z pojęć językoznawstwa i psychologii? Po co tak kręcić?»” (HT, s. 122). Dyskusowanie sprawy przy wykorzystaniu pojęć z językoznawstwa równałoby się wytwarzaniu kryteriów, według których performatywy mogłyby zostać ograniczone od konstatacji, a akty illokucyjne odróżnione od perlokucyjnych; dyskusowanie natomiast sprawy przy użyciu pojęć z psychologii oznaczałoby skorelowanie stanów wewnętrz-

nych z jakąś listą czasowników. W swojej książce Austin nieraz próbuje właśnie to zrobić, ale w każdym przypadku formuły, które rozważa, okazują się nieużyteczne (*unworkable*). Tutaj, na stronie 122, zwrot do czytelnika następuje po długiej na rozdział dyskusji nad „mówiąc” i „poprzez powiedzenie”, jako możliwych sposobach rozpoznawania różnych rodzajów aktów mowy. Teraz pyta: „Czy te formuły dostarczą nam sprawdzianu pozwalającego odróżnić illokucje od aktów perlokucyjnych?” Znaczy to, czy będą one robiły to, co przez cały czas zakładaliśmy, że one mogą robić? Odpowiedź jest krótka i miażdżąca: „Nie będą”. Czasami wydaje się, że jedyny cel książki to obmyślanie sprawdzianów, które nie zadziałają. W rozdziale V oferuje się i odrzuca spadek po „absolutnym” kryterium rozpoznawania performatywów: pierwsza osoba liczby pojedynczej, tryb oznajmujący czasu teraźniejszego, czas i nastrój - wszystkie one zostają poddane ocenie i o każdym z nich Austin ostatecznie powiada, że to „nie zadziała”. Jesteśmy, przyznaje, w „impasie w przypadku każdego pojedynczego, prostego kryterium gramatycznego czy słownikowego” (HT, s. 59); lecz być może, snuje domysły, nie będzie niemożliwe „stworzenie jakiegoś złożonego kryterium” lub „przynajmniej zbioru kryteriów”. Być może, na przykład, „jednym z takich kryteriów mogłoby być to, że performatywem jest wszystko, co posiada czasownik w trybie rozkazującym”. Lecz propozycja ta natychmiast została zagrożona nieskończonym regresem: „To jednakże prowadzi do wielu kłopotów ... kiedy czasownik jest w trybie rozkazującym, a kiedy nie, w które nie zamierzam się pakować” (HT, s. 59–60). Przypuszczalnie, gdyby wszedł w nie, to napotkałby te same trudności, jakie napotyka tutaj: sprawdzian, czy czasownik jest, czy nie jest w trybie rozkazującym, okazałby się nie mniej narażony na wyjątki i kontrprzykłady niż sprawdziany, które już zawiodyły.

W czasie, gdy jego argumentacja się rozwija (to niewłaściwe słowo), Austin kontynuuje realizację swojej podwójnej strategii: poszukuje kryterium, o którym można by powiedzieć: „winno się go używać jedynie w okolicznościach, które jasno i niedwuznacznie pokazują, że zostało ono użyte”, lecz poszukiwanie dostarcza jedynie i wciąż dowodu, że takie kryterium jest nieosiągalne, ponieważ – jak natychmiast oznajmia – wspiera się ono na „zaleceniu doskonałości” (HT, s. 34). Zalecenie to wymusza posuwanie się naprzód i ciągnie nas dalej swoją obietnicą – obietnicą czystego performatywu, mechaniczną procedurą odróżniania jednego rodzaju aktu mowy od innego, przezroczystym miejscem – ale obietnica nigdy się nie spełnia, gdyż Austin tasuje swoje przykłady tak długo, aż rozróżnienia, które mają ilustrować, zostają zatarte czy wręcz odwrócone. Ten wzór działania jest szczególnie jasny w rozbudowanej dyskusji, ciągnącej się przez kilka rozdziałów, dotyczącej tak zwanego wyraźnego performatywu. Wyraźny performatyw to czasownik, który służy „do szczególnego celu czynienia wyraźnym ... tego, co to za działanie właśnie wykonano przez wygłoszenie wypowiedzi” (HT, s. 61). Innymi słowy, illokucyjna moc jest nazwana w samej wypowiedzi przez czasownik performatywny, jak w „Obiecuję zapłacić ci pięć dolarów” lub „Rozkazuję ci opuścić pokój”. Pozycja zajmowana w teorii przez wyraźny performatyw jest więc czymś swojskim w filozofii: oznacza ona centralny czy paradygmatyczny przypadek, w stosunku do którego inne bardziej wątpliwe przypadki mają być oceniane i rozumiane. Wyraźny performatyw, krótko mówiąc, skupia (*centre*) czy zakotwicza system, który na swych najodleglejszych brzegach odznacza się niepewnością. Obecność wyraźnego performatywu udziela jasnej wskazówki na temat intencji, z jakimi wypowiedź jest wygłoszona; podczas gdy w przypadku jego nieobecności sposób, w jaki można wypowiedź odebrać, pozostaje „otwarty” (HT, s. 33).

Jednakże prawie natychmiast Austin komplikuje ten obraz, przedstawiając przykład,

w którym sama obecność wyraźnego performatywu ani w sobie, ani z siebie nie determinuje mocy wypowiedzi. „Przypuśćmy, że mówię «Obiecuję wysłać cię do żeńskiego klasztoru» - kiedy uważam, choć ty się z tym nie zgadzasz, że będzie to dla twego dobra, albo znowu ty tak uważasz, ale ja nie, czy nawet oboje tak uważamy, ale w rzeczywistości, jak się może okazać na końcu, wcale tak nie jest?” (HT, s. 37–38). Czy obiecałem? Czy też „przywołałem jakąś nieistniejącą konwencję w niewłaściwych okolicznościach”? Austin sam nie odpowiada na swoje pytania, lecz jedynie wskazuje, że „może nie istnieć zadowalający wybór pomiędzy tymi alternatywami, które są zbyt mało subtelne, by pasować do subtelnych przypadków” (HT, s. 38). Nie istnieje „droga na skróty”, [nie istnieje] żadna mechaniczna procedura podejmowania tych decyzji; zamiast tego trzeba wyłożyć „pełną złożoność sytuacji, która nie w pełni pasuje do jakiegokolwiek zwykłej klasyfikacji” (HT, s. 38). Ale ten przykład i inne sugerują, że wszystkie przypadki mogą okazać się podobnie subtelne i że nigdy nie napotkamy sytuacji, która pasowałaby do gotowej klasyfikacji - sytuacji, w której moc illokucyjna jest idealnie wyraźna.

Kiedykolwiek wyraźny performatyw ponownie się pojawia, zawsze dzieje się to w kontekście podobnym do tego, kontekście, który odbiera komfort interpretacyjny, który obiecuje zapewnić. W rozdziale VI Austin oferuje spekulatywną genealogię, w której wyraźny performatyw i „czyste” stwierdzenie (*statement*) wyłaniają się nie przed, lecz po „pewnych bardziej podstawowych wypowiedziach, z których wiele to już ukryte (*implicit*) performatywy” (HT, s. 71). W tym podejściu raczej ogólnikowość i nieokreśloność niż wychodzenie od bardziej podstawowych warunków precyzji są w rzeczywistości pierwotne i jesteśmy bardzo blisko stwierdzenia Derridy, że „jakość ryzyka” jest przynależna (*internal*) samej strukturze języka, a nie czemuś, co infekuje jedynie peryferyjne i nienormatywne przypadki. W tym samym rozdziale zdecydowane opowiadanie się za wyraźnym performatywem pojawia się raz jeszcze, gdy Austin mówi, że „wyraźny performatyw wyklucza dwuznaczność i i czyni działanie ustalonym”, lecz następnie osłabia twierdzenie prawie do zera, dodając do zdania jedno słowo „relatywnie” (HT, s. 76). Już na następnej stronie wyraźnie oznajmia, co jego przykłady przez cały czas implikowały: „Istnienie, a nawet użycie wyraźnych performatywów nie usuwa wszystkich naszych kłopotów” (HT, s. 77). Przez kłopoty Austin rozumie „niepewność pewnego odbioru”, a powodem tego, że wyraźny performatyw nie usuwa tej niepewności, jest to, że sam [wyraźny performatyw] jest niepewny (*uncertain*) – to znaczy, jest kwestią interpretacji - tego, czy dana lokucja jest czy nie jest w rzeczywistości wyraźna (*explicit*) w wymagany sposób. Zamiast rozwiązania interpretacyjnego sporu przywoływanie wyraźnego performatywu raczej dokłada jedynie do sporu kolejny element. Ostateczny sąd na temat wyraźnych performatywów, który zostaje wydany w rozdziale IX, czyni to pojęcie niezdolnym do spełniania funkcji, dla której realizacji został powołany: „Odkryliśmy ... że często niełatwo jest być pewnym, nawet jeśli wyraźna forma jest oczywista, że wypowiedź jest performatywem lub że nie jest” (HT, s. 91). „Oczywista” jest tu kluczowym (*master*) słowem, umożliwiała ono całą siłę krytyki, którą później przeprowadzi Derrida w odniesieniu do tej samej książki. „Czas już”, oznajmia Austin w następnym zdaniu, „by podjąć problem od nowa”. Oczywiście, podejmowanie teraz problemu na nowo oznacza, że sam problem został przeformułowany w sposób tak radykalny, że nawet jego zarysy nie wyglądają tak, jak wyglądały wtedy, gdy został pierwotnie postawiony.

„Trudno jest”, mówi Austin na końcu rozdziału IX, „orzec, gdzie zaczynają się i kończą konwencje” (HT, s. 118). Czasami, czytając książkę, wydaje się, że jest to trudność, którą

po tym, jak się raz ją rozpozna, można przewyciężyć, ale faktycznie trudność ta, ze wszystkimi jej implikacjami możliwości pewnych projektów formalnych, ostatecznie triumfuje w *How to Do Things with Words*. Retoryka na stronach otwierających książkę sugeruje skromną propozycję: pewien typ wypowiedzi, którym się niewystarczająco zajmowano, zagrożony tym, że w ogóle umknie jakimkolwiek poważniejszemu zainteresowaniu, miał zostać włączony w koło zakreślone przez tradycyjną filozofię wokół języka; ale kiedy tylko to się stało, próba zbudowania jakiegoś podejścia teoretycznego tego typu zaczęła najpierw podminowywać założenia, które pozwalały zakreślić to koło, aby w końcu doprowadzić to rewolucji tak elegancko odnotowanej przez Searle'a: szczególnie przypadki połykają uogólnienie (*the general case*)¹⁵. Ważne jest, aby zauważyć, iż nie jest to jedynie pewne odwrócenie, w którym dwa terminy zmieniają miejsca wewnątrz systemu, którego strukturalna forma pozostaje ta sama. Rewizja, powodowana w rezultacie przez ten dyskurs, jest znacznie bardziej całościowa; podaje on w wątpliwość i rozbija obraz rzeczy, które kiedyś nadały kształt terminom i czynią pojmovalnym projekt formalnego ich odniesienia. Ów projekt (otrzymania rzeczy wprost „od razu”) nadaje książce jej pozorną strukturę, lecz jej prawdziwą strukturą jest jej stopniowy rozpad, kiedy to rozróżnienia, od których się rozpoczyna, zamazują się i ostatecznie załamują. To właśnie ta podwójna struktura odpowiada za fakt, że książka spowodowała powstanie dwóch wersji teorii aktów mowy, jednej zorientowanej na wchłonięcie mocy illokucyjnej przez formalną teorię w stylu Chomsky'ego (reprezentantami tutaj są John Ross, Jerrold Katz i Jerrold Saddock)¹⁶, a drugiej zorientowanej na uczynienie mocy illokucyjnej funkcją pragmatycznych - to znaczy niemożliwych do sformalizowania - okoliczności (można tutaj przytoczyć prace H. P. Grice'a i Mary Patt)¹⁷. W trzeciej wersji, reprezentowanej czasami przez Searle'a oraz ostatnio przez Kenta Bacha i Roberta Harnischa, pojawia się próba pogodzenia tego, co formalne, z tym, co pragmatyczne, lecz to zwykle wymaga przyznania im niezależności, którą pragmatyczne zapatrywanie (*pragmatic view*), jeśli jest brane poważnie, ze swej natury destabilizuje¹⁸. Dla Austina to, co formalne, i to, co pragmatyczne, nie są ani alternatywami, pomiędzy którymi trzeba wybrać, ani prostym przeciwstawieniem, które trzeba pogodzić, lecz składnikami dialektyki, która rozpracowuje siebie samą w jego argumentacji, posuwaniem się w tył i w przód pomiędzy orientacją na zrozumiałość i zdawaniem sobie sprawy z tego, że zrozumiałość, choć zawsze możliwa, nie może zostać zredukowana do działania formalnego mechanizmu. Oto dlaczego odczytanie Austina przez Derridę jest ostatecznie nie krytyką, lecz wyrazem uznania dla radykalnej prowizoryczności tekstu, który zbyt często bywał osławiany (*domesticated*); odczytanie to jest wierniejsze niż wiele z tych, które oferowali uczniowie mistrza. W rzeczy samej, gdyby tylko Derrida o tym pomyślał, to mógłby spokojnie zadedykować Austinowi *Signature Event Context*; przyjemnie jest sobie pomyśleć, że w jakimś niebie dla filozofów będzie mógł mu to przedstawić Z USZANOWANIEM OD AUTORA.

Przełożył Krzysztof Abriszewski
Przekład przejrzał Andrzej Szahaj

Przypisy

¹ Niniejszy tekst jest ostrożnie zakreślona i ograniczona próbą wytłumaczenia anglo-amerykańskim odbiorcom argumentów Derridy z *Signature Event Context* („Glyph” 1977/I, s. 172–197) jako odnoszących się do projektu rozpoczętego przez J. L. Austina w *How to Do Things with Words* (Oxford 1962) [Istnieje polskie tłumaczenie tej pracy: John L. Austin, *Jak działać słowami*, w: idem, tłum. Bohdan Chwedeńczuk, *Mówienie i poznawanie*, Warszawa Wydawnictwo Naukowe PWN 1993, s. 545–713; decyduję się jednak na własne tłumaczenia cytatów z tej pracy, raz dlatego, że mam mieszane uczucia co do tłumaczenia Chwedeńczuka – w niektórych miejscach wydaje mi się ono zanadto kalkować konstrukcje angielskie, a co za tym idzie, myśl Austina można po polsku oddać zgrabniej, po drugie dlatego, że cytaty te są na ogół bardzo krótkie, więc potraktowanie ich podczas przekładu jako fragmentów w tekście Fisha korzystnie wpłynie na spójność całości. Aby jednak nie stwarzać niepotrzebnych problemów czytelnikom, którzy znają Austina jedynie z prac dostępnych w języku polskim, staram się pozostawać wierny takiemu tłumaczeniu pojęć brytyjskiego filozofa, jakie zaproponował Bohdan Chwedeńczuk – przyp. tłum.]; wszystkie odesłania do tych prac, oznaczone skrótami odpowiednio „SEC” i „HT”, zawarte są w tekście. Jest to także próba, jak pewnie niektórzy z moich czytelników rozpoznają, zasymilowania Derridy przedstawianego w tym eseju i esejach z nim powiązanych przez teorię „wspólnot interpretacyjnych” wyłożoną w mojej książce *Is There a Text in This Class? The Authority of Interpretive Communities* (Cambridge, Mass. 1980). Usiłowanie takie może wydawać się po prostu jeszcze jednym sprowadzeniem Derridańskiej myśli na grunt amerykański, lecz jest ono pomyślane jako przeciwwaga dla innych, bardziej swojskich prób kojarzących się z takimi słowami jak „nieodcywalność” czy „przepaść” (*abyss*). Niewielki obszar mojego zainteresowania wyklucza rozważanie pracy Derridy pod tytułem *Limited Inc.* czy eseju Johna Searle’a, na który *Limited Inc.* jest odpowiedzią. Wyklucza także rozważanie innych perspektyw – psychoanalizy, feminizmu, socjolingwistyki – które wprowadzono do dyskusji, próbując rozwiązać kwestie postawione w debacie Searle’a z Derridą. Odsyłam czytelnika do pomocnych i pouczających analiz Gayatri Spivak (*Revolutions That as Yet Have No Model*, „Diacritics” 1980(zima), 8, s. 29–49; Mary Pratt (*The Ideology of Speech-Act Theory*, „Centrum”, 1981 (wiosna), No. 1, s. 5–18); Samuela Webera (*It*, in: „Glyph” 1978, 4, s. 1–31) i Barbary Johnson (*Mallarmé and Austin*, in: *The Critical Difference*, Baltimore 1980, s. 52–66). Jestem wdzięczny Kennethowi Abrahamowi, Michaelowi Friedowi i Walterowi Bennowi Michaelowi, którzy wraz ze mną pracowali nad tymi tekstami w serii zajęć prowadzonych przez grupę (*team-taught courses*) i którzy przyczynili się do ostatecznego rezultatu w sposób, który będzie dla nich rozpoznawalny na pierwszy rzut oka. Chciałbym także wyrazić wdzięczność Stevenowi Knappowi, W. J. T. Mitchell i Robertowi Viscusi za krytykę i sugestie.

² Jonathan Culler, *Structuralist Poetics*, Ithaca, N.Y. 1975, s. 133; wszystkie kolejne odesłania do tej pracy zawarte są w tekście.

³ John M. Ellis, *The Theory of Literary Criticism: A Logical Analysis*, Berkeley and Los Angeles, 1974, s. 43.

⁴ Barbara Herrnstein Smith, *On the Margins of Discourse: The Relation of Literature to Language*, Chicago 1978, s. 35–36.

⁵ Wolfgang Iser, *The Act of Reading*, Baltimore 1978, s. 24, 184.

⁶ Richard Ohmann, *Speech Acts and the Response to Literature* (referat wygłoszony w grudniu 1976 r. na spotkaniu *Modern Language Association*).

⁷ John Searle, *The Logical Status of Fictional Discourse*, in: *Expression and Meaning*, Cambridge, Eng. 1979, s. 67; wszystkie kolejne odesłania do tej pracy zawarte są w tekście.

⁸ Argument, że im więcej posiada się informacji o kontekście, tym pewniejsza będzie interpretacja wypowiedzi pojawiających się w tym kontekście, jest paralelna wobec argumentu mówiącego, że im więcej słów w wypowiedzi (im bardziej otwarcie zostanie przedstawiona), tym mniejsza jest szansa, że zostanie ona mylnie zinterpretowana lub zinterpretowana na wiele sposobów. Oba argumenty przemawiają na rzecz stanu nasycenia (zarówno rzeczy, jak i słów) tak całkowitego, że interpretacja nie jest

w stanie znaleźć dla siebie nawet szczeliny. Kontrargumentację przedstawiam w swoim tekście *Is There a Text in This Class?*, s. 282–283, 311.

⁹ Oczywiście jest to możliwe, żeby ona zmieniła swoje zdanie, ale jedynie wtedy, gdyby jemu udało się zmienić jej obecne przekonanie co do jego charakteru. Mogłoby to się zdarzyć, na przykład, gdyby on zrobił coś, czego zrobienie często obiecywał i nie dotrzymywał obietnicy, lub powiedział coś („kocham cię”), czego nie chciał powiedzieć wcześniej. Fakt, że ona mogłaby zostać przekonana przez takie czy inne zachowanie, nie oznacza wcale, iż jej przekonanie zmieniłoby się pod wpływem bezpośredniego zaznajomienia się z niezapśredniczonym świadectwem; ponieważ takie zachowanie uzyska status świadectwa jedynie w kontekście konkretnej formy, jaką przyjmują jej przekonania (będzie to świadectwo specyficzne dla danych przekonań). Jeśli, dla przykładu, jej przekonanie na temat jego charakteru przyjmuje formę myślenia sobie przez nią „on nigdy nie robi tego, czy nie powie tamtego”, to pewne zachowania (zrobienie przez niego tego, czy powiedzenie tamtego) będą się liczyły jako możliwe powody zmiany zachowania, chociaż same te powody będą miały swoje źródło w przekonaniach. Ponadto moc zachowania jako świadectwa może zostać odczuta, nawet jeśli zostanie ono jedynie jej opisane bądź przekazane w liście. Znowu fakt fizycznej bliskości nie jest tu decydujący ani nawet konieczny ważny.

¹⁰ Znakomitą analizę pojawiania się i znikania osoby w obrębie jakiegoś systemu można odnaleźć w: J. Derrida, *Of Grammatology*, tłum. Gayatri Spivak, Baltimore 1976, s. 107–140 [wydanie polskojęzyczne – *O gramatologii*, tłum. Bogdan Banasiak, Warszawa, Wydawnictwo KR 1999 – przyp. tłum.]

¹¹ S. Weber, *It...*, s. 7.

¹² Zob. B. Johnson, *Mallarmé and Austin...*, s. 60: „Wypowiedź performatywna (...) automatycznie fikcjonalizuje wypowiadającego, kiedy czyni go rzecznikiem jakiejś skonwencjonalizowanej władzy (*authority*). Gdzie jeszcze, na przykład, poza konwentem partyjnym mógłby zostać nominowany kandydat na prezydenta? Za fikcją podmiotu stoi fikcja społeczeństwa... Nie jest, rzecz jasna, naszą intencją niwelowanie różnic pomiędzy, powiedzmy, wierszem i wyrokiem, lecz jedynie problematyzacja założeń, na których takie rozróżnienia są oparte. Jeśli ludzie bywają wydani na śmierć przez wyrok, a nie przez wiersz, to nie dlatego, że prawo nie jest fikcją.”

Zob. także M. Pratt, *Ideology...*, s. 10: „Autorstwo’ jest pewną, społecznie ukonstytuowaną pozycją zajmowaną przez mówiący podmiot i obdarzoną określonymi cechami oraz relacjami wobec innych wymiarów tego podmiotu. Alternatywnie, moglibyśmy powiedzieć, że zasugerowany autor istnieje we wszystkich aktach mowy – autor jest zasugerowany w tekście tylko w taki sam sposób, w jaki podmioty są sugerowane w jakichkolwiek aktach mowy, jakich dokonują.” Istnieje na ten temat rozbudowana dyskusja w moim tekście *How to Do Things with Austin and Searle*, in: *Is There a Text in This Class?*, ss. 197–245, zwłaszcza zob. 231–244.

* Pozwoliłem sobie przetłumaczyć tytuł *Roots* – choć, jak mi się wydaje, sama książka nie doczekała się jeszcze polskiego przekładu – ponieważ nasza telewizja publiczna kilkakrotnie wyświetlała serial na niej oparty, rzecz nie jest więc zupełnie nieznaną – przyp. tłum.

¹³ Zob. Derrida, *O gramatologii...*, s. 72: Jeśli «pismo» oznacza zapis, przede wszystkim zaś trwałe ustanowienie znaku (...), to pismo w ogóle obejmuje cały obszar znaków językowych. W obszarze tym może się następnie pojawić pewien rodzaj znaczących ustanowionych, «graficznych», w ścisłym i pochodnym sensie tego słowa, rządzonych pewnym stosunkiem do innych znaczących ustanowionych, a zatem «pisanych», nawet jeśli są one «foniczne.” Równa się to powiedzeniu, że w obszarze ustanowionych znaczących, jakiś jeden rodzaj zajmie pozycję – w obrębie instytucji – tego, co «naturalne». Zob. także s. 74: Zerwanie tego „naturalnego przywiązania” jest dla nas raczej zakwestionowaniem idei naturalności niż idei przywiązania. Właśnie dlatego słowa „ustanowienie” nie należy zbyt pochopnie interpretować zgodnie z systemem klasycznych przeciwieństw. Czyli fakt, że wszystko ma instytucjonalny charakter, nie oznacza, że nie istnieją rozróżnienia, normy, czy wzorce (*standards*) – żadne „przywiązania” – tylko, że owe przywiązania właśnie dlatego, że zostały instytucjonalnie bądź społecznie ukonstytuowane, nie są wieczne, a zatem mogą się zmienić.

¹⁴ John Searle, *Reiterating the Differences: A Reply to Derrida*, in: „Glyph” 1977, 1: s. 198.

** Pozostawiam tutaj taką formę tłumaczenia, jaką zaproponował Bohdan Chwedeńczuk (por. rozdz.

X polskiego wydania książki Austina), ponieważ obawiam się, iż jakiegokolwiek zmiany tutaj mogłyby wywołać niepotrzebne zamieszanie w przypadku czytelników, którzy znają jedynie polskie tłumaczenie pracy Austina – przyp. tłum.

¹⁵ Zob. John Searle, *The Philosophy of Language*, Oxford 1971, s. 7.

¹⁶ Zob. John Ross, *On Declarative Sentences*, in: *Readings in English Transformational Grammar*, eds. Roderick Jacobs and Peter Rosenbaum, Lexington, Mass. 1970; Jerrold Katz, *Propositional Structure and Illocutionary Force*, Cambridge, Mass. 1980; oraz Jerrold Saddock, *Toward a Linguistic Theory of Speech Acts*, New York 1974.

¹⁷ Zob. H. P. Grice, *Logic and Conversation* (wykład wygłoszony jako część William James Lectures, Harvard University, 1967) oraz M. Pratt, *Toward a Speech Act Theory of Literary Discourse*, Bloomington, Ind. 1977.

¹⁸ Zob. Kent Bach, Robert M. Harnisch, *Linguistic Communication and Speech Acts*, Cambridge, Mass. 1979.